MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 28 WARSZAWA, 1 LIPCA 1926 R. CENA NUMERU 1 zł.

REFORMA USTROJU

ZAMACH majowy nadał szybsze tempo kryzysowi ustrojowemu w Polsce, ale bynajmniej go nie wywołał. W całej Europie zachodniej i środkowej ujawnia się taki sam kryzys, tylko że w Polsce niedomagania życia politycznego występują w jaskrawej formie z powodu niższego poziomu kulturalnego ludności i braku wyrobienia i doświadczenia politycznego wśród przywódców.

Jak wiadomo, we Francji najpiękniejsza była republika za cesarstwa, gdy dopiero do niej dążono i jej wyczekiwano. Z instytucjami politycznemi powtarza się stale ta sama historja: kiedy ich myśl zasadnicza znajdzie całkowite urzeczywistnienie, chylą się one do upadku wskutek jednostronności narzuconego kierunku. Mądra, na doświadczeniu historycznem oparta zasada równowagi władz w państwie siłą rzeczy zostaje wypaczona: w razie konfliktu między rządem a parlamentem (ponieważ niema czynnika poza niemi stojącego, a dość potężnego do rozstrzygnięcia bezstronnego i zgodnego z interesami państwa) parlament jest górą i rozwój stosunków prowadzi do wszechwładzy ciał ustawodawczych i całkowitego uzależnienia od nich władzy wykonawczej. Ten, kto faktycznie nadaje kierunek sprawom politycznym, ponosi za nie odpowiedzialność, a kilkaset głów liczące ciało, obdarzone władzą nieograniczoną, nie może być pociągnięte do prawnej odpowiedzialności za swą nieudolność; niezadowolenie opinji zwraca się więc przeciwko samej instytucji, której powaga coraz bardziej upada. A autorytet jej maleje tem więcej, im bardziej posłowie starają się zaskarbić łaski wyborców, schlebiając pożądaniom i instynktom tłumów. Bo takie zachowanie nie wzbudza szacunku w masach, którym imponuje silna wola i postawa władcza.

Dla uzasadnienia idei demokratycznej posługiwano się fikcjami: umowy społecznej, woli powszechnej, szlachetności natury ludzkiej. Czysto mechaniczne i indywidualistyczne pojęcie społeczeństwa, jako sumy jednostek, stało się podstawą panujących teoryj politycznych, które znalazły wyraz w ustroju państwowym. Odrzucono i zniszczono wszelkie tradycyjne autorytety, wszelką hierarchję w społeczeństwie. Te sfery, które przy triumfie demokracji dochodziły do władzy, nie posiadały umiejętności rządzenia, były pozbawione doświadczenia, które zastąpiły pięknie brzmiące hasła i formułki.

W państwie zawsze rządzić musi oligarchja, czyli pewna grupa, w ktorej skupiają się jednostki, posiadające te lub inne dane do roli kierowniczej. Oburzanie się na ten fakt jest tak samo czcze i nierozsądne, jak niezadowowolenie z praw fizycznych. Społeczeństwo nie jest masą bezkształtną, musi mieć swoją budowę, czyli ustrój hierarchiczuy, muszą być rządzący i rządzeni. Zagadnienie ustrojowe polega przedewszystkiem na tem, w jaki sposób odbywa się selekcja członków grupy rządzącej. Normalną, najlepszą drogą jest ewolucyjne odnawianie się jej składu przez dopływ świeżych żywiołów z pośród rządzonych i ich wchłanianie, asymilacja w sztuce rządzenia. Nagłe przewroty, usuwające dawną oligarchję, wysuwają zawyczaj na czoło społeczeństwa doktrynerów i demagogów, którzy następnie zdobywają elementarną umiejętność sprawowania władzy po błąkaniu się na manowcach, po eksperymentach, za które płaci niesłychanie drogo naród.

Przy bezwzględnym triumfie demokracji parlamentarnej wytworzenie grupy, zdolnej do rządzenia, napotyka na niepokonane trudności. Jedyne państwo europejskie, które dotychczas dawało sobie radę z tym problematem— Anglja miała arystokratyczną budowę społeczną. W związku z nią i struktura stronnictw oparła się na zasadzie oligarchicznej. Rządząca w stronnictwach tradycyjnych oligarchja, powstające drogą doboru, narzucała i program i posłów masom, a z kolei przywódcy zwycięskiego stronnictwa, obejmując rządy, kierowali posłami zasiadającymi w parlamencie. Ale w innych państwach demagogja stawała się coraz bardziej rodzicielką formalnych władców

demokracji. Ci do roli istotnego kierowania państwem byli coraz mniej odpowiedni.

Próbowano przystosować do formy ludowładztwa nieuniknioną oligarchję w postaci ukrytej. Przez dłuższy okres rządy parlamentarne dawały możność kierownictwa życiem publicznem lożom wolnomularskim. Wciągano przywódców mas, dochodzących do głosu decydującego, do masonerji. Jednakże, zdaje się, że nadchodzi w Europie kres powodzenia tej taktyki. Masonerja niszczyła tradycyjne autorytety i w dążeniach swych nie przeciwstawiała się rządom demokracji ani demagogji, ufna w potęgę swej organizacji, zdolnej rzekomo opanować przez przywódców rozagitowane rzesze. Wszakże przeciwko burżuazji masońskiej rozpoczęła się nieufność tych rzesz, zawiedzionych w swych nadziejach, które rozbudzono demagogją. Kryzys parlamentaryzmu jest niewątpliwie jednocześnie objawem kryzysu potęgi wolnomularstwa, które właśnie usunęło tamy, zabezpieczające przed rządami tłumów.

Obok tych ukrytych rzeczników, usiłujących objąć kierownictwo, wyrosły dwie potęgi, które w społeczeństwach, pozbawionych autoretetów umysłowych i moralnych, mają otwarte pole do rządów oligarchicznych — organizacje kapitału, zwłaszcza finansjery i organizacje zawodowe robotnicze. Jedne i drugie chcą zapanować w państwie dla osiągnięcia swych celów egoistycznych. Pierwsze składają się z jednostek nielicznych, które mogą wobec roli, jaką obecnie odgrywa w życiu państwowem kapitał ruchomy, narzucać swą przeważną wolę kierownikom polityki, choćby ich wprost od siebie nie uzależniły. Drugie są organizacjami mas, ale ich wpływ na państwo nie polega głównie na liczbie członków, lecz na funkcji, jaką spełniają w organizmie gospodarczym, na możności sparaliżowania niezbędnych czynności społeczno-ekonomicznych. I te związki zawodowe zresztą, pomimo charakteru masowego, siłą rzeczy są kierowane przez oligarchję.

Tak przeto przy pozornem panowaniu mas, przy oparciu ustroju politycznego na zasadzie demokratycznej rządów większości, wytworzyły się sprzeczne z tą zasadą siły społeczne, dążące do istotnej władzy. Między formą—ustrojem politycznym, a treścią—układem sił społecznych wystąpiła przeciwstawność, która grozi wstrząśnięciem podstaw państwa współczesnego. Prawdziwa demokracja polityczna, o której marzył ojciec duchowy urzeczywistnionych teoryj politycznych, samotnik Rousseau, okazało się odpowiednią formą tylko w zacofanych, pierwotnych gminach górskich i leśnych kilku kantonów szwajcarskich. Formą ustroju przyszłości być nie może; wobec skomplikowanych, coraz trudniejszych stosunków społecznych i ekonomicznych demokracja polityczna staje bezradna.

Doszła do kresu swej ewolucji. Usunęła wszystkie przeszkody, stojące na drodze pełnemu ludowładztwu. Obdarzyła prawem decydowania o losach państwa wszystkich pełnoletnich obywateli, zniosła wszelkie nierówności prawne, zapewniła przez system proporcjonalny reprezentację wszelkim odcieniom opinji i mniejszościom. I nie może już iść dalej. Bo jeżeli usiłuje przekroczyć metę, do której biegła, to jednocześnie podważa zasadę, na której wznosi się jej budowa. Widoczne są np. próby zabezpieczenia przywilejów masom, dla pozyskania ich poparcia. Ale to jest *contradictio in adiecto* — przywileje mogą posiadać tylko stosunkowo nieliczne grupy, a nie większość. Osiągnięcie szczytu demokracji parlamentarnej ma wśród tylu ujemnych jedną stronę dodatnią: przestaje być celem, ideałem, do którego się dąży za wszelką cenę.

Dopóki ów ideał nie był doświadczalnie przeżyty, trudno było o zbudowanie racjonalnego ustroju politycznego. Wszak u podstawy rządów parlamentarnych leży wiara w dobroczynny przypadek. Chodzi w tym ustroju jedynie o ustalenie większości, o działanie arytmetyczne. Kierunek, w jakim podąża naród, jest rzeczą nie dającą się przewidzieć. Zdajemy się na los, na przypadek. Najwyżej żywimy mętną nadzieję, że szlachetne instynkty wezmą w masach górę nad złemi i że potrafią one odróżnić, gdzie spoczywa dobro narodu. W istocie cała treść cywilizacji, tworzenie wartości duchowych i wychowywanie ich twórców staje się bezcelowe, skoro o przyszłości narodu ma rozstrzygać wyłącznie stanowisko, które ma poza sobą przewagę liczby.

Plany przebudowy ustroju politycznego, która oczywiście nie może być dokonaną odrazu i naprędce, muszą wyjść z wyraźnych założeń. Przedewszystkiem celem ustroju państwowego winny być rozwój i potęga narodu. Suwerenność Narodu, proklamowana w Konstytucji marcowej, nie może być rozumiana tak, jak ją komentowano od czasów rewolucji francuskiej. Naród nie jest luźnem zbiorowiskiem jednostek, ani w danej chwili mieszkającą w granicach państwa ludnością. Stanowi psychiczną całość, rozwijającą, się historyczną, wieczną, mającą nakreśloną drogę przed sobą. Nie może być głównem zadaniem polityki narodowej zaspakajanie doraźnych pragnień i interesów większości czy poszczególnych dobrze zorganizowanych grup.

Kierownicy nawy państwowej winni służyć idei narodowej, która jest objektywna, wyznaczona przez bieg dziejów i przez warunki geograficzno-polityczne. Koło tej idei skupiają się jednostki, powołane do urzeczywistniania jej w życiu. Jest rzeczą konieczną, aby grupa rządząca odnawiała się stale dopływem świeżych żywiołów z pośród rządonych, inaczej grozi jej zasklepienie i zwyrodnienie. Jest również rzeczą konieczną, aby najszersze warstwy rozumiały i przejmowały się ideą narodową, aby świadomie do niej się przyłączały. To jest zdrowy proces demokratyzacji, szybko się szerzący.

Ale współczesne zagadnienia zewnętrzne i wewnętrzne państw stały się tak powikłane, tak każde rozwiązanie poszczególnego problematu zahacza i oddziaływa na całokształt bytu społecznego, że kierownictwo sprawami politycznemi musi spoczywać w ręku ludzi, posiadających odpowiednie kwalifikacje umysłowe i moralne i umiejętność rządzenia. Musi rządzić elita, powstająca w drodze właściwego doboru. Nie można, rzecz prosta, lekceważyć dążeń i potrzeb szerokich warstw, trzeba z jak największym wysiłkiem dbać o podnoszenie kultury i do-

brobytu mas. Ale i w tej dziedzinie powszechne doświadczenie wskazuje, że osiągnięcie tych celów nie dokonywa się drogą demagogji i spełniania ślepego żądań rzesz głosujących. Masy, zwłaszcza rozagitowane, widzą tylko doraźne korzyści, które w rezultacie mogą sprowadzić ruinę i nędzę, agitatorowie podnoszą tylko antagonizm interesów klasowych, gdyż to zapewnia im powodzenie, aczkolwiek wspólność interesów społeczeństwa znakomicie przeważa nad ich rozbieżnością. Nawet przeto w rozstrzyganiu zagadnień gospodarczych i społecznych głos decydujący powinien przypaść osobom kompetentnym, umiejącym ogarnąć całość stosunków i przewidzieć skutki takich lub innych zarządzeń. Przecież obecnie sami przedstawiciele poszczególnych ugrupowań gospodarczych ograniczają się do wysuwania jednostronnego ciasnych postulatów egoistycznych, jakby rozumiejąc, że ktoś powołany winien dać syntezę zwalczających się prądów.

Wszelako grupa rządząca utrzymać się może przy władzy tylko przy poparciu opinji publicznej. Masy nie są zdolne do rozstrzgania skomplikowanych problematów, ale muszą darzyć rządzących zaufaniem. Należy zatem wytworzyć hierarchję umysłowo-moralną, wytworzyć autorytety, które kierują i rozkazują, a nie schlebiają tłumom. Dyktatura może być jeno przejściową formą rządów. Zjawia się wówczas, gdy jednostka zdobędzie szczególną popularność, a wskutek specjalnych okoliczności społeczeństwo zwątpiło w swoje siły i ogarnęło je zniechęcenie. Normalnie winno istnieć przedstawicielstwo szerokich mas, które należy pozyskać dla idei narodowej. Reprezentacja ludności daje rządzącym poznać tendencje panujące w społeczeństwie, i daje możność stwierdzenia, czy rządzący posiadają zaufanie ludności.

BOHDAN WASIUTYŃSKI

AUTONOMJA ŚLĄSKA

AUTONOMJA województwa śląskiego jest w ustroju Polski anarchonizmem, który należy usunąć w możliwie najbliższej przyszłości. Tworzy ona w Rzeczypospolitej dualizm polityczno-państwowy, robiąc z województwa śląskiego republikę w republice, przynosząc przez to Państwu raczej wiele szkód, niż korzyści. Dziś gdy sprawa reformy ustroju Rzplitej wogóle stała się aktualna, również i potrzeba naprawy w tej dziedzinie nie powinna być pominięta ani przewlekana.

Patrząc na autonomję Śląska ze stanowiska historycznego, przyznać trzeba, że pierwotnie była ona potrzebna, gdyż uchwałą parlamentu niemieckiego z listopada 1919 r. przyrzeczono ówczesnemu terytorjum plebiscytowemu odrębną państwowość w związku Rzeszy niemieckiej, jeżeli ludność jego oświadczy się w głosowaniu plebiscytowem za pozostaniem przy Niemczech a potem w osobnem głosowaniu zażąda samodzielności państwowej w charakterze odrębnego niemieckiego państwa związkowego (*Bundesstaat*). Był to sprytnie przez Niemców obmyślony i niebezpieczny dla sprawy polskiej manewr agitacyjny, wobec którego Polska musiała poczynić stosowne kroki, by go unicestwić. To też Sejm Ustawodawczy w dniu 15 lipca 1920 r. uchwalił „Statut organiczny Województwa Śląskiego“, nadając mu cechę „ustawy konstytucyjnej“.

Akt ten miał ważne dla agitacji plebiscytowej następstwa, bo wytrącił Niemcom z ręki ważny atut polityczny na czas walki agitacyjnej, a następnie, po przyłączeniu Śląska do Polski, umożliwił prędką organizację nowego województwa. Jako środek przejściowy i tymczasowy autonomja śląska miała tedy swój walor, wszelako obecnie, gdy już państwowość nasza na Śląsku zapuściła mocne i trwałe korzenie, uważać ją należy za przeżytek, który w formie dotychczasowej nie powinien być długo utrzymywany.

Autonomiczne województwo śląskie jest jak wskazaliśmy na wstępie, jakby republiką w republice, przez co w niemałej mierze przyczynia się wśród pewnych sfer ludności miejscowej do separatyzmu a wiernemu ideałom narodowym ogółowi ludności przeszkadza w całkowitem zespoleniu się państwowem z resztą narodu. Cechą główną i znamienną tego dualizmu jest Sejm śląski, składający się z 48 posłów. Członkowie jego korzystają według art. 17 Statutu Organicznego z „takich samych praw nietykalności poselskiej, co posłowie do Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej“ i otrzymują według art. 18 „djety w wysokości określonej uchwałą Sejmu“, który zrównał ją z poborami na Sejm Rzeczypospolitej, co razem z drukami i administracją powoduje dla skarbu śląskiego wydatek roczny sięgający 600,000 złotych. Nietykalność poselską wykorzystują przedewszystkiem posłowie narodowości niemieckiej, złączeni pomimo różnicy przekonań politycznych i społecznych w jeden klub w liczbie 16, co stanowi trzecią część wszystkich członków Sejmu.

Wojewoda śląski nie jest zwyczajnym urzędnikiem państwowym w IV randze poborów. Jest to w całem tego słowa znaczeniu dostojnik państwowy, który w razie dymisji musi otrzymać emeryturę, chociażby tylko króciutki czas urzędował. Łączy on w swej osobie władzę, którą w państwie pruskiem piastowali: naczelny prezydent prowincji śląskiej i prezydent rejencji a na Śląsku Cieszyńskim prezydent kraju (art. 26). Statut organiczny wyposażył go dodatkowo w następujące prawa: 1) inicjatywę ustawodawczą w Sejmie śląskim (art. 23), 2) prawo przemawiania w Sejmie i delegowania urzędników do Sejmu z takiem samem prawem (art. 23), 3) uczestnictwo i prezydjum w Radzie wojewódzkiej (art. 25), 4) mianowanie i udział przy mianowaniu urzędników i władz województwu podległych (art. 25), 5) prawo zwoływania Rady wojewódzkiej i tymczasowego zawieszania jej uchwał (art. 31 i 32), 6) prawo wyrażenia opinji przy mianowaniu wyższych urzędników wojewódzkich (art. 33), 7) prawo wyrażania opinji przy mianowaniu sędziów, wszelako tylko w pierwszych pięciu latach po objęciu Śląska przez Polskę (art. 38).

Rada wojewódzka, prócz wojewody i wicewojewody, składa się z pięciu członków, wybieranych corocznie przez Sejm śląski w głosowaniu stosunkowem. Rada odbywa posiedzenie dwa razy w tygodniu, za co jej wybrani członkowie pobierają pełne djety poselskie. Korzysta ona według art. 27 „z praw nadanych ustawami pruskiemi Radzie Prowincjonalnej względnie Wydziałowi Prowincjonalnemu tudzież z praw, nadanych statutem krajowym lub innemi ustawami austrjackiemi Wydziałowi Krajowemu“. Dalej Statut Organiczny nadał jej jeszcze szereg innych uprawnień, z których najważniejszemi są: 1) prawo wypracowania dla Rady Ministrów projektu

ustaw o podatkach śląskich (art. 5), 2) inicjatywa ustawodawcza (art. 23), 3) prawo zatwierdzania rozporządzeń wojewody (art. 28), 4) wydawanie razem z wojewodą przepisów przejściowych o używaniu języka polskiego i niemieckiego w urzędach, szkołach i t. d. (art. 29).

Wynika z tego, że Rada wojewódzka jest organem ustawodawczym i administracyjnym, co pod niejednym względem krępuje wolność wojewody, tembardziej, że jest co do narodowości i przynależności partyjnej swych członków mieszana.

Do kompetencji ustawodawczej Sejmu śląskiego należą różnorodne materje, które są szczegółowo wyliczone w artykułach od 4 do 8 włącznie. Od Sejmu śląskiego zależą między innemi tak ważne przedmioty, jak organizacja policji i żandarmerji, szkolnictwo ogólnokształcące i zawodowe wszelkich typów i stopni, ustalanie corocznie budżetu śląskiego i zatwierdzanie zamknięć obrachunkowych, wreszcie obszerna dziedzina skarbowości, w której „stosunek systemu podatkowego śląskiego do systemu podatkowego państwowego i wzajemny stosunek administracji skarbowej państwowej i śląskiej będą ustalone w równobrzmiących ustawach: państwowej i śląskiej" (art. 5). Skarb śląski wyposaża i dotuje wszystkie urzędy i wszystkich urzędników wojewódzkich, Skarb Państwa zaś utrzymuje sądownictwo, pocztę, kolej i urząd górniczy. Ustawy podatkowe, uchwalane przez Sejm i Senat, muszą być sankcjonowane przez Sejm śląski, jeżeli mają obowiązywać w województwie śląskiem. Na tem tle powstały już różne zatargi i konflikty kompetecyjne. Z tej też racji „ustawa o rozbudowie miast" nie obowiązuje na Śląsku, pomimo, że właśnie w tej części kraju ruch budowlany mógłby w pewnej mierze załagodzić straszliwą nędzę mieszkaniową i przyczynić się do częściowego zażegnania bezrobocia.

Nieokreślone stanowisko z racji tego dualizmu skarbowo-ustawodawczego mają też niektóre kategorje urzędników, bo nie są oni właściwie ani urzędnikami państwowymi ani autonomicznymi. Odnośni ministrowie narażeni są z tego powodu na przeróżne przykrości. Tak ma się sprawa mianowicie z ministrami skarbu i oświaty. Fatalnie również odbija się na życiu narodowem ludności Śląska zależność wszelkiego rodzaju szkół od Sejmu śląskiego pod względem ustawodawczym, a od wojewody względnie od wydziału oświecenia publicznego pod względem administracyjnym. Niemcy, mając przyznane przywileje przez Konwencję Genewską z 15 czerwca 1922 r. prą całą siłą do zakładania coraz liczniejszych szkół mniejszościowych, czyli niemieckich, co z drugiej strony wywołuje oburzenie patrjotycznej części ludności polskiej na wojewodę i wydział oświecenia, którym zarzuca zbytnią uległość i zaniedbywanie interesów polskich. Lawirowanie w tej sytuacji jest trudne i nie na miejscu. Władze muszą się zdecydować ostatecznie na zajęcie jasnego pod tym względem stanowiska, a mianowicie: szkoły mniejszościowe mają i powinni istnieć wyłącznie dla Niemców, nie wolno atoli dopuszczać do tego, by pracodawcy niemieccy zmuszali groźbami wyrzucenia z pracy, a agitatorzy nakłaniali za różne udogodnienia i za pieniądze rodziców polskich do posyłania dzieci swych do szkół niemieckich. Jeżeli zwykłą drogą tej agitacji niemieckiej nie będzie można zapobiec, trzeba będzie wydać ustawę, która pod groźbą ostrych kar zabroni agitacji wśród ludności polskiej, by stawiała wnioski o zakładanie szkół niemieckich i by posyłała do nich swe dzieci.

Można tu wyliczyć jeszcze długi szereg niedomagań i szkodliwych skutków, jakie pociąga za sobą autonomja śląska. Patrjotyczna część ludności na Śląsku coraz głośniej sarka na autonomję i żąda jej zniesienia, doszedłszy do przekonania, że przynosi ona korzyści jedynie Niemcom, a zapewnia różne przywileje urzędnikom, którzy zresztą najwyżej w 10% są Ślązakami. Dla tej kategorji mieszkańców Śląska autonomji chyba nie potrzeba. To też autonomję należy jaknajszybciej znieść i zastąpić ją szeroko pomyślanym i rozumnie ułożonym samorządem.

Życzenie to jednakże łatwiej wyrazić niż spełnić. Według bowiem art. 44 Statutu Organicznego można znieść tę ustawę konstytucyjną i ograniczyć prawa ustawodawstwa lub samorządu śląskiego tylko za zgodą samego Sejmu śląskiego. W obecnym jego składzie i przy usposobieniu większości jego członków rzecz to nieprawdopodobna. Dopiero nowy Sejm śląski będzie zapewne mógł tego dokonać. JAN J. KOWALCZYK

SPOŁECZNOŚĆ SZLACHECKA

NOWSZA socjologja odróżnia dwa rodzaje ludzkiego współżycia: społeczeństwo [1] (*Gesellschaft*) i społeczność (*Gemeinschaft*). Pierwsze — to związek luźny i powstający na podstawie decyzji ludzi postanawiających założyć go, lub doń należeć. Np. zrzeszenia o określonych celach i interesach. Drugie jest związkiem sięgającym znacznie głębiej w dusze i serca ludzi; opiera się na stałem współżyciu ludzi i na możliwie trwałej i rozległej wspólnocie w zakresie wewnętrznego i zewnętrznego życia. Przykładami takiego związku są: rodzina, związki ideowe, zrzeszenia religijne, zżyty oddział wojska i t. d.

Jednostka ludzka czuje się zupełnie inaczej w społeczności lub w społeczeństwie. W społeczeństwie jest wprawdzie bardziej swobodna i niezależna, ale jednocześnie odczuwa samotność i obcość otaczającego ją świata. W społeczności natomiast czuje się jak w atmosferze rodzinnej, jest zżyta z panującemi warunkami, z otoczeniem, odczuwa wewnętrzną solidarność z innymi członkami danej grupy, wie, iż liczyć może na ich pomoc i wsparcie, na rezonans psychiczny dla głoszonych, a będących wspólną własnością, zasad, przeżywa to, co inni, razem z innymi. Słabiej natomiast rozwija się wówczas swobodna, niezależna indywidualność.

Różnica między społeczeństwem a społecznością jest tedy dość wyraźna, jakkolwiek jest jeno różnicą stopnia, a nie jakości. Są środowiska, w których bardzo wyraźnie przeważa pierwsza lub druga forma współżycia, ponieważ zaś ma to doniosłe znaczenie i wpływ na działanie i zachowanie danej grupy, przeto zastanowienie się nad tem, jaka forma współżycia była znamienną i dominującą w dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej jest dla zrozumienia procesów historycznych sprawą ważną i ciekawą.

Postaramy się wykazać, iż w życiu dawnej Polski istniał cały szereg czynników sprawiających, że bytowanie szlacheckie układało się w ramach społeczności i to społeczności tradycjonalnej t. zn. opierającej się o kult przeszłości.

Wśród poszukiwanych czynników nasamprzód wymienić należy stanowość ustroju Polski. Szlachta była stanem odzielającym się wyraźnie od innych stanów —

[1]) „Społeczeństwo" jest tedy terminem dwuznacznym: raz oznacza wogóle społeczne życie ludzi, innym razem jeno specjalny typ tego życia.

i wynoszącym się ponad nie. Stąd wynikała po pierwsze konieczność wspólnego a jednolitego frontu wobec innych. Wspólność podejmowanego w obronie przywilejów działania, bojowe przeciwstawianie się królowi lub senatowi, obcym lub swoim, było źródłem silnego wiązania szlacheckiego stanu; nic tak silnie bowiem nie wiąże ludzi i nie zbliża, jak wspólne, wytrwałe działanie. Zresztą nie tylko w ten sposób zaznaczyła się rola stanowości: w związku z innemi czynnikami, o których zbyt wiele trzebaby mówić, wynikające z przewagi stanowej poczucie odrębności i wyższości szlacheckiej rozszerzyło swój zakres i poczęło przejawiać się nie tylko w odniesieniu do stanów innych. Na gruncie dumy z niebywałych wolności stanowych wyrastało już w XVI wieku mniemanie, iż niema w całej Europie tak zacnego i tak sławnego królestwa — jak polskie. Na tem mniemaniu wspierając się, dumnie odrzucała szlachta wzory obce i szła rodzimą drogą. Spoglądała na Europę lekceważąco: przez półtora wieku nie brała z niej nic.

Ściśle z socjalnem wyobrębnieniem się stanu szlacheckiego z pośród innych stanów i innych narodów, postępowało właśnie wyodrębnienie się kulturalne. Na gruncie swoistego podłoża socjalnego, wyrastała swoista kultura, zrazu związana jeszcze dość żywo z Europą później związek ten zrywająca, w obu jednak fazach dostępna jedynie szlachcie.

Było tedy życie szlachty i socjalne i kulturalne wydzielone z pośród innych stanów (a czasem i odmienne od innych państw) i stanowiące zjawisko swoiste. Szlachta jedynie miała możność przeżywanie niedostępnych innym treści kulturalnych; ona jedynie posiadała cały szereg elementów socjalnych innym państwom nie znanych: zespół wolności i przywilejów i to była jej duchowa, a przez przodków przekazana posiadłość, cenniejsza, niż złoto.

Takie zaś wyodrębnienie się szlachty, coraz wyraźniejsze zamykanie się w ekskluzywizmie, niezmiernie sprzyjało wewnętrznemu spojeniu. Im bardziej jakaś grupa wyróżnia się od otoczenia i stanowi oryginalną swoistą całość, tem wyraźniej jest pozostawiona sobie tylko i rodzimości i tem silniej przez to zespala się wewnętrznie, umysłowo i uczuciowo.

Stanowiąc odrębną grupę, stan szlachecki we własnym obrębie posiadał inne jeszcze wiązania i spójnie, nie tylko te płynące z przeciwstawiania się otoczeniu. Dziedziczna ziemia, dworek na niej zbudowany, portrety antenatów, dawne zbroje i zdobycze — to były widome znaki ciągłości szlacheckiego życia, zapewniające głęboki związek jego pokoleń. Dziś nie zdajemy sobie dość jasno sprawy z tego, jak silną była ta więź; ludzie dzisiejsi nie znają niemal zupełnie swych dziadów i nie mają po nich prawie żadnej pobudzającej pamiątki. Inaczej dawniej: wówczas w atmosferze pradawnego dworku żył duch całej przeszłości minionej, rzucały się w oczy dawne przodków rynsztunki, bogactwa, posiadłości, kołatały do serc opowieści o dawnych czynach, zwycięstwach, przewagach. To był świat wyniesiony ponad zmienność ludzką, a jednocześnie otoczone blaskiem uroku, poważania i czci.

Nie tylko dziedziczne osiedle stanowiło silną więź szlacheckiego stanu. Był nią i herb. Rozszerzał on rodzinę wzdłuż i wszerz. Wiązał żyjących z przodkami takimi, o których poza herbem właśnie, żadna już nie ostała pamiątka, wiązał również i z potomkami, którzy ten herb kiedyś nosić będą. Rozszerzał zakres rodziny i wszerz, ponieważ wiązał żyjących współklejnotników, którzy niejednokrotnie nie mieli innych więzów wzajemnych ponad herb wspólny, wytwarzał między nimi nastrój zaufania, zgody i pokrewieństwa. Pod wpływem humanizmu i dumy szlacheckiej kult owych wartości ziemiańsko-rodowych stawał się coraz silniejszy.

Po tem, cośmy już powiedzieli, łatwo zrozumieć silne upodobanie szlachty w życiu gromadnem, zbiorowem, towarzyskiem — jednem słowem we wspólnocie przeżywania. Szlachta prowadzi bujne życie towarzyskie i posiada silny pociąg do takiego trybu życia. Właściwość tę wyrażają nie tylko ludzie tacy, jak Rej i Pasek — ale i tacy jak Kochanowski, czy Sobieski, choć ci znają już i powaby samotności. I jedni i drudzy są też reprezentatywni dla swoich środowisk: dla szarej szlachty wielbiącej „przejażdżki i wdzięczne biesiady między przyjacioły i w domku swoim“, wspólne polowania, wspólne zabawy, wspólne wyprawy, i dla elity umysłowej, żądnej zżycia się podczas uczt wspólnych i dysput zbiorowych. Towarzyskość szlachty, żywa potrzeba wspólnoty przeżywania wyraziła się i w Rzeczypospolitej Babińskiej i różnych przejawach wieku XVII, słusznie scharakteryzowanego przez Brücknera, jako czasy rozkwitu masy.

Wszakże nie tylko czynniki natury towarzyskiej wywołują i zaspakajają potrzebę wspólnoty przeżywania. Przyczyniają się i prądy kulturalne: głównie reformacja XVI wieku była podłożem całego szeregu zebrań, zrzeszeń czasowych i stałych synodów, dysput, zgromadzeń, na których spotykała się szlachta różnych okolic, zapoznawała ze sobą i wchodziła w bliższe związki. Najdonioślejszą wszakże rolę odegrał ustrój państwowy, apelujący wciąż do zbiorowości. Sejmy i bezkrólewia, konfederacje, zjazdy i sejmiki, przeróżne zebrania lokalne i ogólne, wszelkiego rodzaju zgromadzenia stanu szlacheckiego zbliżają rzesze szlacheckie wzajem do siebie i wiążą silnie.

Na tle oddziaływania omówionych czynników zrozumiemy pewną znamienną właściwość ówczesnego życia szlacheckiego, nadającą mu jeszcze wyraźniejsze zabarwienie rodzinne i swojskie. Właściwością tą jest uczuciowość. Na podłożu socjalnem sprzyjającem przyjmowały się, prędko i bujnie, jej ziarna rzucane przez prądy kulturalne. W szczególności reformacja posiadała ich wiele: żywe uczucie w stosunku do Boga, namiętne ścieranie się różnych wyznań, wizje bożego gniewu, psałterze i kancjonały. I humanizm budzący żądzę sławy i wykształcającej się niezależnej indywidualności, ukazujący piękno w życiu i radość, wiódł do podniesienia uczuciowości.

Cały szereg wydarzeń, od klęsk politycznych, a na normalnych funkcjach społecznych życia skończywszy, ujmuje szlachta w kategorje uczuciowe. Taka zaś postawa sprawia, iż życie polityczno-społeczne traci swój objektywizm, swą surowość i chłód, stając się jakby zespołem wydarzeń prywatnych, domowych. Oto podczas sejmu 1562/3 przychodzi nowina o wzięciu Połocka; zawiadamia o tem Kanclerza w mowie żałosnej tak, iż „wielu senatorów, wielu posłów *lachrimas emitebant*. Król płakał. *Permoverat* ta żałosna nowina *totum populum*. Po tej rzeczy kanclerzowej uczynił przemowę król, z częstem ocieraniem oczu swych łez pełnych“. Podobnie i inne klęski, lub ich przypomnienia przyjmowane są przez izbę z „bolesnem sercem, smętnemi twarzami, zapłakanemi oczyma“ a z małą dozą trzeźwego poczucia państwowego i politycznej orjentacji. O unji polsko-litewskiej mówi się stale w terminach miłości braterskiej żywe są pragnienia, „aby ten zacny akt tej wiecznej spólności nie jedno papierem abo pergaminem, ale miłością braterską się kończył“. Gdy układy się przewlekają i jawi się groźba ich rozbicia, posłowie „z wielkim płaczem padają na kolana“, proszą tak rzewnie — iż cała izba się wzrusza: „ledwo, który był, któryby abo nie płakał, abo żalem wzruszony nie był“.

Bolesny niewątpliwie brak sprawiedliwości traktuje szlachta z retoryzmem i uczuciowością, miast szukać trzeźwo środków zaradczych: „pojrzyjcie panowie, pro-

szę na ten niepotężny tłum ludzi starych, niewiast i dziatek niedorosłych, którzy teraz z płaczem wielkim leżą u nóg waszych, ręce swe do was wznoszą, was proszą, i poprzysięgają, abyście raczej, gdy ich bronić nie chcecie, ciała ich popalić dali".

Ów przerost uczuciowości widać jasno w sferze stosunku szlachty do króla — i króla do niej. Wykazuje on tendencję do ułożenia się na podstawach uczuciowości. Dobry król zapewnia szlachtę, iż odnosi się do niej jak najczulszy opiekun, ojciec i gotów dla jej dobra ponieść wszelkie ofiary, jak np. Zygmunt August mówiący na sejmie 1669: „by też żeście się gardła mego naparli, aby było to z dobrem waszym, tedy to dla was powinienem uczynić tak was miłuję, ukazał na gardło palcem, po gardle pomknąwszy zapłakał, by też i to dać na prośby wasze gotowem". Posłowie odpowiedzieli płaczem i wybuchem wdzięczności. Wogóle szlachta wobec króla mówi najczęściej o wdzięczności, wierności, zaufaniu lub przeciwnie o zdradzie, ale zawsze o procesach psychicznych o wyraźnej zawartości uczuciowej, elementów posłusznej uległości, praworządnego podporządkowania lub krytyki — brak. Takie przeniknięcie życia publicznego elementami uczuciowości prywatnej zbliżało to życie niezmiernie do świata prywatnego, nieledwie domowego, odbierało mu charakter rzeczywistości surowej, objektywnej, państwowej.

Jeśli teraz uprzytomnimy sobie zjawiska omówione, zrozumiemy dlaczego szlachta czuła się jak jedna rodzina. Podobieństwo warunków bytu, przeciwstawianie się swoim i obcym, wyraźny związek z ziemią i rodowością, wspólność przeżywania i działania, silna uczuciowość — to wszystko składało się na wytwarzanie w obrębie stanu szlacheckiego więzów silnych i głębokich, takich, które serdecznym przymusem wiążą ludzkie serca.

Społecznością tedy, a nie społeczeństwem jest życie szlacheckie. Jednostka czuje się wewnętrznie związana ściśle z innemi; stąd stałym sposobem wyrażania są powiedzenia: „my", „nasz", „dla nas". Czuje w sobie życie grupy i jej dążenia. Życie jednostkowe rozszerza się do zakresu życia grupy, a życie grupy odbija się niby w zwierciadle w duszy jednostki - monady.

Po tem, co się o podstawach tej społeczności mówiło, jasne już jest, iż opiera się ona o tradycję. Wyodrębnienie się i wyniesienie ponad inne stany i nawet inne narody zawdzięcza szlachta — swoim przodkom, ich trudom, ofiarom, zasługom i mądrości. Wielbi też ich za to przy każdej sposobności i żywi dla nich głęboki kult. Ziemiańska i rodowa konstrukcja życia zbiorowego nawiązuje wciąż do przeszłości, do potęgi i mocy antenatów. Stan szlachecki przeżywa te treści, które dostępne były przodkom i przez nich były stosowane, żyje w świecie ich wytworów i cieszy przekazanem dobrem, baczy, by ze świętej puścizny nic nie uronić. Wierzy głęboko, że tylko w tych ramach rozwijać się może życie polskie, patrzy z lękiem i obawą na każdą nową drogę, bo sądzi, iż tylko przez przodków wytyczona droga jest słuszna. Poczuwa się do żywego związku przeszłych i przyszłych pokoleń szlacheckich.

Ten tradycjonalny charakter społeczności uświadamiała sobie szlachta wyraźnie. Czasami to poczucie zyskiwało zgoła religijne zabarwienie: mówiono o królujących w niebie zacnych przodkach i oczekujących przyjścia na ziemię potomkach. Między temi dwiema kategorjami—byłych i przyszłych—żyją ludzie współcześni, których troską wielką jest, aby od przodków wzoru nie oddalić się, aby potomkom zachować Rzplitą taką, jaką się od przodków przejęło. Oto np. słowa jednej z broszur 1572: „co jest bardziej sprośnego, niźli praw i Rzplitej a Ojczyzny swej zapomnieć dla pana woli, i testamentu świętych przodków naszych, którzy nie trzeba wątpić, że sąd słuszny przed Bogiem z nami mieć będą; także też i przyszłe potomstwo nasze, które z nieba patrzy, prosząc, aby też wolność i też stateczność a prawdę całą ową do rąk podać, którą nam przodkowie nasi zwierzyli".

Rozwija się tedy życie szlacheckie jako społeczność tradycyjna. Zakwalifikowanie życia dawnej Polski do specjalnego typu socjologicznego konstrukcji życia zbiorowego, a mianowicie do społeczności tradycjonalnej [2]) ułatwia socjologiczne zrozumienie całego szeregu zjawisk i procesów, konstrukcji pojęć społecznych i ich konserwatywnej trwałości, polityki i działania rzesz szlacheckich. W przesyconej rodzinną uczuciowością atmosferze społeczności wyrastające pojęcia państwa, prawa, władzy i t. d. noszą na sobie jej głębokie piętno. Jednostka ludzka, wyrastająca w tej atmosferze, ulega jej bezapelacyjnie i nie zdoła się wznieść krytycznym umysłem ponad nią, jakby to mogła uczynić, żyjąc w luźnem społeczeństwie. Żyje i postępuje wrośnięta w społeczność.

Ale o tych sprawach pomówić trzeba oddzielnie.

BOHDAN SUCHODOLSKI

[2]) Wiele o tym typie mówi M. Weber w dziele „*Wirtschaft und Gesellschaft*".

UWAGI NAD PROLOGAMI „KORDJANA"

DAWNO już stwierdzono, że pomysł poprzedzenia „Kordjana" dwoma prologami (z których jeden ma tytuł „Przygotowanie", a drugi „Prolog") powstał pod wpływem dwóch prologów, poprzedzających „Fausta" Goethego, to jest prologu w niebie i prologu w teatrze. [1])

Podobieństwo „Prologu" Słowackiego do prologu w teatrze jest czysto formalne. Natomiast podobieństwo „Przygotowania" do prologu w niebie sięga głębiej, albowiem jest to podobieństwo zasadniczego problemu. I tam i tu jest walka złego z dobrem, szatana z Bogiem. Zachodzi jednak pomiędzy dwoma utworami ta różnica, że u Goethego szatan chce wywrzeć swoją władzę nad jednym tylko człowiekiem, tymczasem u Słowackiego piekło wywiera swoją władzę nad całym jednym narodem.

[1]) Bienenstock. O wpływie poetów niemieckich na twórczość Słowackiego. Kleiner. Juljusz Słowacki, tom pierwszy.

Są pewne, i to bardzo ważne podobieństwa także w szczegółach.

Mefistofeles Goethego mówi do Boga o człowieku z lekceważeniem i pogardą: „Mały bóg świata jest zawsze ten sam—równie pocieszny, jak pierwszego dnia; troszkę lepiej byłoby mu na świecie, gdybyś mu nie dał odblasku światła niebieskiego; on nazywa to rozumem, a potrzebuje tego tylko po to, aby jeszcze być bardziej zwierzęcym od każdego zwierzęcia". Szatan Słowackiego jest zupełnie tego samego zdania; i on z pogardą mówi o tych robakach, które myślą, i on twierdzi, że ludzie byliby szczęśliwsi, gdyby nie robili użytku z daru światła niebieskiego:

> Biada im, jeśli marzeń ziemią nie określą,
> Kołem widzenia — biada, jeśli je przekroczą.

I cieszy się szatan, że filozofowie, ścigając swą myślą treść myśli, wreszcie

...nad ciemną przepaścią zawiśli
Obudzili się, w przepaść spojrzeli
I zawołali: ciemno! ciemno! ciemno!
To hosanna dla was szatanów,
To śpiew naszych kościelnych organów,
Kto myślał przez godzinę, jest lub będzie ze mną.

Nie dosyć na tem. Podobnie jak Mefistoleles Goethego jest pewny, że uda mu się sprowadzić Fausta z drogi, na której mu światło niebieskie przyświeca, że więc wygra zakład z Panem Bogiem, tak i Szatan Słowackiego jest najpewniejszy, że „wiek, co przyjdzie, ucieszy szatany“, że się w tym wieku naród Polski podniesie i zginie. Mówi wprawdzie, że potem, po swojej zgubie, ów naród

...wroga myślą zabije,
Bo myśl jego ogniste ma ramię,
Ona, jak powróz, wrogi uwiąże za szyje
I związanych postawi na takim pręgierzu
Że wszystkie ludy wzrokiem dosięgną i plwaniem;

to znaczy, mówi szatan, że naród Polski wraz z innemi ludami napiętnuje swoich wrogów, którzy go o zgubę przyprawili, mianem tyranów, wrogów wolności: cóż mu jednak przyjdzie z tego moralnego triumfu?

Lecz kto odniesie ostateczne zwycięstwo? Szatan, czy Bóg? W tragedji Goethego, jeżeli Mefistofeles będzie kusił Fausta, to tylko dlatego, że Bóg na to pozwolił. A dlaczego Bóg pozwolił?

Des Menschen Thätigkeit kann allzu leicht erschlaffen.
Er liebt sich gleich die unbedingte Ruh:
Drum geb' ich gern ihm den Gesellen zu,
Der reizt und wirkt, und muss, als Teuffel, schaffen.

Już z tych słów, oraz z tego majestatycznego spokoju, z jakim Bóg zezwala, żeby Mefistofeles kusił Fausta, widać, że Bóg jest spokojny o los swego sługi.

A jak jest w „Kordjanie“? Czy Polska jest już raz na zawsze rzucona na pastwę szatanowi? Nie; o Polskę troszczą się także potęgi niebieskie: Archanioł zanosi przed tron boży błagalną modlitwę za tą gwiazdą, która się obłąkała w drodze, to jest za narodem, który się z a g r z e c h y o j c ó w położył w grób:

Czas, byś go podniósł Boże, lub gromem dokonał,
A jeśli Twoja dłoń ich nie ocali,
Spraw, by krwi więcej, niźli łez wylali.

A na to Pan Bóg:

...wola moja się stanie!

Jaka to wola, tego Pan Bóg nie mówi, ale i tych czterech słów dosyć, aby się zgodzić na to, że i dla Słowackiego, jak dla Goethego, świat idzie drogą woli Boga, nie szatana. W pierwszej części zamierzonej trylogji, w „Kordjanie“, zwycięża szatan; w części drugiej, o ileby jej treścią było powstanie listopadowe, szatan zwycięzyłby także: naród Polski, zdaniem Słowackiego, wylał więcej łez, niż krwi — zostało „smutne pół rycerzy żywych“. Ale część trzecia skończyłaby się prawdopodobnie zwycięstwem nie szatana, tylko Boga. A wnosić to wolno z „Prologu“.

Zakończenie „Przygotowania“ znajduj się w ścisłym związku ideowym z początkiem „Prologu“, o tyle, że pierwsza jego osoba zaczyna swój monolog od modlitwy za ten sam naród, za który się modlił Archanioł:

Boże! ześlij na lud Twój, wyniszczony bojem,
Sen cichy, sen przspany, z pociech jasnym zdrojem;
Niechaj widmo rozpaczy we śnie go nie dręczy,
Rozwieś nad nim kotarę z rąbka niebios tęczy,
Niech się we łzach nie budzi przd dniem zmartwychwstania:
A mnie daj łzy ogromne i męki konania...

Dawno już domyślano się, że monolog pierwszej osoby „Prologu“ pisał Słowacki z myślą o Mickiewiczu [2]).

[2]) Józef Tretiak, Juljusz Słowacki, 77.

Mówić jednak krótko bez zastrzeżeń, że pierwsza osoba „Prologu“ to Mickiewicz, jest nieścisłym skrótem myślowym. A nie idzie tutaj o to, że w monologu są złośliwe alluzje do myśli o rządzie dusz—w „Improwizacji“, do apokoliptycznego stylu „Widzenia“ księdza Piotra i do tej nauki „Ksiąg Pielgrzymstwa“, że emigranci polscy są powołani do apostołowania Ewangelji Chrystusowej wśród zmaterjalizowanych, bijących pokłony złotemu cielcowi narodów Europy: podłożem a raczej przedmiotem tych wszystkich złośliwości względem Mickiewicza jest prawda, nadto zaś ta złośliwość ma pewien równoważnik — we wspaniałym hołdzie, złożonym (w ostatnim z przytoczonych wierszy) bezgranicznemu w swej ofiarności patrjotyzmowi Mickiewicza.

Natomiast nieprawdą jest, aby Mickiewicz życzył kiedykolwiek swemu narodowi „snu cichego w niewoli“ Tej myśli nie wyczytał Słowacki ani w „Dziadach“, ani w „Księgach“: nie usypiać swój naród, ale przeciwnie, pobudzać go do pracy moralnej nad sobą [3]) i do propagandy idei rewolucyjnej wśród narodów europejskich.

Myśl tę wyczytał Słowacki nie w pismach Mickiewicza, tylko w „Hymnie do Polski“ La Mennais'go wydrukowanym (w polskim przekładzie) w „Pamiętniku Emigracji Polskiej“ (w numerze z dnia 8 lipca roku 1832): „Zasypiaj, o Polsko moja, zasypiaj spokojnie; oni mówią, żeś ty w grobie złożona: ja wiem, że to nie grób, ale kolebka... Patrz na jej blade, lecz spokojne w uśpieniu czoło, jaka na niem odbija się ufność! Patrz na jej uśmiechające się usta! Cóż we śnie postrzegła? Maż to być senna mara, zwodząca ją, znikając? Nie, to boska Dziewica, ta, która ona obwieściła swoją królową. Ona to zstąpiła ku niej z wysokości i, jednę rękę kładąc jej na sercu, drugą podniosła zasłonę przyszłości, a za tą zasłoną stojącą wiara ukazała jej wolność“ [4]).

Przypisując Mickiewiczowi modlitwę o „sen cichy“ dla swego narodu, popełnił Słowacki podobny błąd, jakiego się dopuścił w „Beniowskim“ wołając:

Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież wy idziecie?

Nie odróżniał tutaj Słowacki poglądów Mickiewicza od poglądów „Młodej Polski“: podobnież w „Prologu“ do „Kordjana“ nie odróżniał myśli Mickiewicza od wydrukowanego w „Pamiętniku Emigracji“ „Hymnu do Polski“ La Mennais'go. Tak czy inaczej, czy Słowacki cały monolog piorwszej osoby „Prologu“, czy też tylko jego część pisał z myślą o Mickiewiczu, twierdzić krótko i bez zzstrzeżeń, że ta osoba to Mickiewicz, (raz jeszcze) nie wolno: karykatura człowieka choćby nawet najlżejsza, nie jest jego portretem, a tem mniej fotografją. W imię ścisłości trzeba przecie odróżniać g e n e z ę pomysłu i jego i n t e n c j ę od jego w y k o n a n i a. Nie daleko szukając, w tym samym „Kordjanie“ rysów do postaci Prezesa dostarczył Słowackiemu po części Niemcewicz, a po części Stanisław Sołtyk; ale prezes nie jest ani Niemcewiczem, ani Sołtykiem, tylko postacią fikcyjną, „Prezesem“, pomimo że, kto wie, może i n t e n c j ą Słowackiego było, żeby czytelnicy „Kordjana“ myśleli, że Prezes to Niemcewicz. Tutaj w „Prologu“, m o g ł o b y ć intencją Słowackiego, żeby w pierwszej osobie czytelnicy domyślali się Mickiewicza. Ś c i ś l e jednak biorąc, ze stanowiska w y k o n a n i a artystycznego, jest to równie, jak Prezes, t y l k o osoba fikcyjna — „Pierwsza osoba Prologu“.

[3]) Ob. znakomite dzieło Manfreda Kridla: Antagonizm wieszczów, str. 100.

[4]) Na zbieżność myślową tego hymnu z monologiem pierwszej osoby „Prologu“ zwrócił uwagę Józef Ujejski w swem studjum o „Kordjanie“ (Kraków 1909, str. 31).

O drugiej osobie, która drwi sobie z mistycznych zapałów osoby pierwszej, powiedziano, że to sam Słowacki [5]). Czy jednak nie miał tu Słowacki na myśli raczej emigracyjnych krytyków Mickiewicza, niż samego siebie?

Oto osławiony Jan Czyński na zebraniu demokratów polskich w Paryżu dnia 5 listopada 1833 ironicznie nazwał Mickiewicza „prorokiem przeszłości“ i zarzucił mu, że „szuka on, napełniając nam uszy szumnem słowem wolność, jak zniechęcić naszą emigrację do wszelkich rozpraw i poszukiwań nad przyszłym stanem naszej Polski, zaprasza ją tylko na pobożne rozmyślania; w zapale swym poetycznym poleca nawet w jednem ze swych pism cenzurę prasy. Wymowne słowa obywatela Czyńskiego — pisze dalej *„La Tribune politique et littèraire“* — przyjęto z żywym zajęciem“ [6]). Ta właśnie opinja warchołów demokratycznych znalazła znowu echo w pierwszych słowach drugiej osoby „Prologu“, która drwi z „zapału poety“ i szydzi z jego pobożności:

Ja wam zapał poety na nici rozpędzę,
Wy śmiejcie się z zapału mego towarzysza...
Kto on? do tureckiego podobny derwisza...

Oto osławiony Adam Gurowski — w czasopiśmie *„L'Europe littèraire, Journal de la littèrature nationale et etrangère“* [7]) — równie ostro, jak głupio, skrytykował „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa“ i napiętnował Mickiewicza, jako wstecznika, prorokującego, że przeszłość powróci, i pełnego „ascetycznych nienawiści względem postępu“: tutaj znowu przypominają się słowa drugiej osoby: „do tureckiego podobny derwisza“. Szydzi dalej Gurowski, że się Mickiewicz poczytuje za Mesjasza, poczem dodaje ironicznie: *„avant de se dire prophéte, il faut avoir ètè martyr“*, to znaczy zarzuca Mickiewiczowi, że walczy tylko słowem, a nie walczył czynem. To też druga osoba „Prologu“ (czyniąc wyraźną alluzję do słów Mickiewicza: „Jesteście wśród cudzoziemców jak Apostołowie śród bałwochwalców... bijcie ich słowem, a inni ich pobiją mieczem“), mówi:

Miecz w ustach obosieczny — jest to sztylet słowa,
Którym zabija ludzi głupich albo wrogów.

Oto nakoniec trzeci osławiony warchoł, „Ibuś“ (Józefat Bolesław Ostrowski) — rzucił się także w „Nowej Polsce“ [8])—na Mickiewicza, jako na rzekomego wstecznika i wroga postępu, oszczercę Francji i wogóle „zachodniej cywilizacji“, jako na szowinistę, głoszącego „izraelską zasadę“, „że wszystko co nie nasze, jest bezbożne i śmieszne, skazane na wytępienie“.

Słowacki, który choć mieszkał wówczas w Szwajcarji, był pilnym czytelnikiem pism emigracyjnych, znał z pewnością te wszystkie ich głosy o Mickiewiczu, i one to prawdopodobnie dostarczyły mu materjału do monologu drugiej osoby, którą też wolno poczytać za uosobienie krytyków Mickiewicza.

Przez usta osoby trzeciej przemawia—tym razem—już niewątpliwie sam autor prologów do „Kordjana“, albo raczej prologów do zamierzonej trylogji. Ta trzecia osoba nie przyznaje słuszności ani pierwszej, ani drugiej:

zwaśnionych obu spędzam ze scenicznych progów.

Rzekomej myśli Mickiewicza o „śnie cichym“ narodu i wierze Mickiewicza w potęgę słowa przeciwstawia Słowacki — przez usta trzeciej osoby—myśl własną, że on Słowacki, wskrzesi lud z prochu, zamkniętego w narodowej urnie, to jest, że odrodzi swoją poezją naród, że go uczyni równie wielkim, równie dzielnym, równie wierzącym w siebie i w swoją przyszłość, jaki był kiedyś.

Takie właśnie zakończenie, w którem się kryje myśl podobna do tej, jaką zawierają w sobie słowa z „Lambra“, umieszczone jako *motto* całej trylogji, upoważnia nas do mniemania, że jej część ostatnia miałaby w sobie „świt narodowych nadziei“, że byłaby, jeżeli nie obrazem, to przynajmniej zapowiedzią odrodzenia narodu.

IGNACY CHRZANOWSKI

[5]) Ujejski w objaśnieniach w „Kordjanie“ (w Bibljotece Narodowej). Krytykę tego poglądu (i innych) ob. w pomienionej książce Kridla.

[6]) Ob. „Rok Mickiewiczowski“, Lwów 1899, tom I, 174.

[7]) Nr. 68, z d. 7 sierpnia roku 1833.

[8]) Czwarty półarkusz, roku 1833.

KONIEC WYSPY OLIWEK

[*Fragment powieści „THE FLYING INN“*]

SMOK morski, świat opływający, a mieniący się kolorami kameleona, pluskał nurtem blado-zielonym przy brzegach Anglji, lecz tonią ciemno-błękitną uderzał o wyspy Jońskie. Z niezliczonego ich mnóstwa jedna, biała płaska skała, stercząca nad roztoczą lazuru, słynęła jako Wyspa Oliwek, nie dla gajów oliwkowych jednak, ale dla paru drzewek, co przez kaprys gruntu czy klimatu wystrzeliły do bezprzykładnej wysokości. Nawet w najskwarniejszych regionach Południa oliwka nie wyrasta wyżej od małej gruszki; te zaś trzy oliwki, stojące na bezpłodnej opoce, uchodzić mogły — pomijając kształt odmienny—za średniej wielkości sosny lub modrzewie północne. Dotyczyła też tej wyspy legenda starogrecka o Palladzie, opiekunce oliwki, bo na morzu dookolnem żyła najdawniejsza baśń Hellady, a z marmurowego tarasu pod oliwkami widać było szarą sylwetkę Itaki.

Na tarasie stał pod gołem niebem stół z przyborami do pisania. Przy stole zasiedli czterej mężczyźni: dwaj w mundurach, dwaj na czarno po cywilnemu; w tyle stanęli adjutanci, oficerowie domu i inni przyboczni; a za tą grupą parę okrętów wojennych wyciągnęło się sznurem na morzu. Pokój bowiem niesiono Europie.

Po długiej agonji wysiłków załamała się jedna więcej próba obalenia potęgi tureckiej i wyzwolenia plemion chrześcijańskich. W ostatniem stadjum wojny małe państwa wycofały się, lub zostały do tego zmuszone przez wielkie mocarstwa, i podpisano już cały szereg traktatów pokojowych. Wreszcie zostały tylko cztery strony zainteresowane, ponieważ państwa europejskie, całkowicie uznając konieczność zawarcia pokoju na podstawie propozycyj tureckich, chętnie zdały zakończenie rokowań na Anglję i Niemcy, jako na mocarstwa zdolne pokój taki narzucić. Brał naturalnie udział w konferencji pełnomocnik sułtana; był też przedstawiciel jedynej wrogiej potęgi, z którą sułtan dotychczas jeszcze się nie ułożył.

Jedno tylko państewko toczyło do ostatka uporczywą wojnę, odnosząc, do czasu przynajmniej, zwycięstwa budzące w Europie echa głośne, choć krótkotrwałe.

Mizerny, ledwie że uznawany władca, tytułujący się „królem Itaki“, dokonał we wschodniej połaci morza Śródziemnego czynów tak niezwykłych, że samo przez się nasuwało się porównanie z mężem, którego imię przywodziła na pamięć nazwa wyspy królewskiej. Poeci głosili, że Odys znów powrócił, i nawet ci patrjoci greccy, co byli zmuszeni broń złożyć, ciekawi byli niezmiernie, na jaki szczep grecki, na imię jakiego rodu spłynie chwała bohaterstwa nowego władcy. Ubawiono się więc niepomału, gdy przyszła wieść, że potomkiem Odysseusza jest zuch-

wały awanturnik irlandzki, Patrick Dalroy, dawny oficer floty angielskiej, który dla swych sympatyj feniańskich popadł w zatarg ze zwierzchnością i wystąpił ze służby.

Rozmaite potem przywdziewał mundury i wielu zaznał przygód; obrywał zaś i zadawał cięgi z jakąś dziwną miną ironiczno-donkiszotowską. W swem państwie był królikiem, a jednocześnie głównodowodzącym, admirałem, ministrem spraw zagranicznych i ambasadorem, lecz zawsze szedł za wolą ludności w najważniejszych sprawach pokoju i wojny, dlatego też uwzględniając życzenia poddanych, przybył na konferencję pokojową. Słynął nietylko biegłością w sztuce wojennej, lecz także niesłychaną krzepkością ciała i olbrzymim wzrostem. Spotyka się dziś często w pismach modny frazes, że barbarzyńska siła mięśni sama przez się na nic nie zda się w wojnie współczesnej; lecz w twierdzeniu tem tyleż jest przesady, co w poglądzie przeciwnym. W takich naprzykład wojnach na blizkim wschodzie, gdzie cała ludność jest jako tako uzbrojona, a zamachy zdarzają się często, znaczną przewagę ma wódz, co potrafi obronić głowę w niebezpieczeństwie; i wogóle nieprawda, jakoby siła niewiele była warta. Pogląd ten podzielał minister angielski lord Ivywood, który w rozmowie z królem Itaki szczegółowo uzasadnił bezkonkurencyjną wyższość lekkiego modela tureckiego działa polowego; na co przystał król Itaki, dodając, że mógłby zabrać je i uciec z niem pod pachą. Nieinaczej myślał i pierwszy żołnierz Turcji, straszliwy Oman Pasza, równie sławny męstwem wojennem, jak okrucieństwem w czasach pokoju, na czole noszący bliznę, ślad rany, którą zadał miecz Patricka po trzygodzinnej śmiertelnej walce wodzów, a którą Oman Pasza przyjął bez nienawiści i wstydu, Turek bowiem w takich okolicznościach daje się poznać od najlepszej strony. Nie kwestjonował wartości siły i p. Hart, finansista, a zarazem przyjaciel ministra niemieckiego. Patrick Dalroy podjął się wrzucić kapitalistę do mieszkania oknem frontowem, które on sam wskaże, i cisnął go do sypialni na pierwszym piętrze tak precyzyjnie i pieczołowicie, że np. Hart wylądował na łóżku i odrazu mógł rozpocząć kurację. Mimo wszystko jednak, jeden Irlandczyk - atleta na wyspie nie może wiecznie opierać się Europie, to też z wesołością ponurą Patrick zaofiarował wreszcie pokój na warunkach, dyktowanych przez przybraną ojczyznę. Nie mógł nawet wyboksować dyplomatów (do czego nie brakło mu siły ani chęci), bo głos sprawiedliwości szeptał, że oni podobnie jak on spełniają tylko rozkazy. Siedział więc ociężale i sennie przy stoliku, odziany w biało zielony mundur, który sam zaprojektował dla marynarki Itaki. Niesamowicie jakoś młody na swój ogrom był ten człowiek tur, z potężnym karkiem, niebieskiemi oczyma i czerwonym włosem, strzelającym w górę tak prosto, jakby się w głowie paliło—co też niektórzy w istocie utrzymywali.

Najbardziej władczo z obecnych wyglądał sam wielki Oman Pasza, z twarzą groźną, umartwioną ascetyzmem wojen, z włosami i wąsem spalonemi przez błyskawice raczej, niż przez wiek pobielonemi, z czerwonym fezem na głowie i z biegnącą od fezu do wąsów blizną, na na którą nie spojrzał ani razu król Itaki. Oczy Paszy nie miały żadnego wyrazu.

Lord Ivywood, minister angielski, byłby może najprzystojniejszym z Anglików, gdyby nie bezbarwne zupełnie włosy i cera. Na tle niebieskiego marmuru morza był jak marmurowy stary posąg o kształtach doskonałych, w którym jednak trudno zobaczyć coś więcej, oprócz gry świateł i cieni. Włosy lorda, zależnie od oświetlenia, wydawały się raz jasno-blond, raz ciemno-srebrne. Należał on do mówców parlamentarnych starej szkoły, choć był jeszcze stosunkowo młody. Każdy temat rozkwitał w jego ustach pięknem figur retorycznych, lecz mimo to twarz mówcy nie ożywiała się nigdy. Niektóre maniery lorda też były przeżytkami dawniejszego parlamentaryzmu: wstawał naprzykład zawsze dla zabrania głosu, jakby znajdował się w senacie, a nie na samotnej skale oceanowej przed trzema słuchaczami.

Więcej w tem jednak było czegoś osobistego, niż w zachowaniu delegata, co siedział przy lordzie Ivywood w milczeniu, i tylko gra twarzy za niego mówiła. Był to dr. Gluck, minister niemiecki, w obliczu nie mający zresztą nic niemieckiego, ni przenikliwości niemieckiej, ni ospałości. Twarz ta miała świeżość fotografji kolorowej i ruchliwość obrazu kinematograficznego, ale szkarłatne wargi nie poruszyły się nigdy, aby wymówić słowo. Migdałowe oczy rzucały blaski opalowe, a małe podkręcone wąsy czasem drgały jak szare wężyki, lecz delegat nie odezwał się ani razu. W milczeniu podał notatkę lordowi Ivywood, który włożywszy okulary wydał się o jakie dziesięć lat starszy.

Na kartce wypisany był porządek dzienny. Punkt pierwszy brzmiał: „Ambasador Itaki żąda repatrjacji uprowadzonych po zdobyciu Pylos dziewcząt. Odrzucić".

Lord Ivywood wstał. Samo piękno jego głosu zadziwiło tych, co słyszeli tego mówcę po raz pierwszy.

„Proszę Waszych Ekscelencyj" — zaczął — „mąż stanu, którego polityki nie pochwalam, lecz z którym równać się nie mogę, wypowiedział pamiętne słowa: pokój z honorem. Gdy zaś pokój zawierają tacy wodzowie miary historycznej, jak Jego Królewska Mość i Oman Pasza, to zaprawdę święcą pokój z chwałą".

Tu przerwał na sekundę, ale zdawało się, że cisza morza i skał śpieszy z gromkim oklaskiem, tak świetnie wygłosił te okresy.

„Jedna myśl wszystkich nas dzisiaj ożywia, mimo że wielekroć, i to zasadnie, wynikły między nami różnice zdań w czasie długich i męczących rokowań poprzednich; jedna myśl dzisiaj góruje. Niech pokój będzie tak bezwzględny, jak wojna, i jak wojna nieustraszony".

Znów urwał i znów posłyszał jakby myślne oklaski, któremi darzyły go nie ręce słuchaczów, lecz ich głowy. Poczem tak ciągnął dalej:

„Zaprzestaliśmy walki, zaprzestańmy i targów. Pewne rzeczy muszą pójść w niepamięć, gdy po wzniosłych bojach zapanować ma wzniosły pokój. Jeśli może na cokolwiek się przydać rada starego dyplomaty, to przedewszystkiem zaleciłbym nie zakłócać tych przyjaznych czy też rodzinnych stosunków, jakie się wytworzyły podczas zawieruchy. Jestem, przyznaję, na tyle człowiekiem starej daty, że uważałbym interwencję w stosunki rodzinne za precedens nader niebezpieczny. Jestem też na tyle liberałem, że nie odmawiam starym zwyczajom muzułmańskim szacunku, jaki mam dla starych zwyczajów chrześcijańskich. Mamyż — stawiano tak przecie tę sprawę — wszczynać wojnę, lub ciskać nowemi oskarżeniami, gdy w sporze idzie o to, czy pewna liczba kobiet opuściła dom z własnej woli, czy wbrew niej? Nie znam dobrawdy kwestji bardziej śliskiej i trudniejszej do rozstrzygnięcia. Pozwolę więc sobie mniemać, iż wyrażę pogląd wszystkich obecnych, twierdząc, że utrzymane być muszą wszystkie istniejące w imperjum ottomańskiem związki małżeńskie i stosunki rodzinne wogóle".

Nie poruszył się nikt, tylko Patrick, dłoń położył na chwilę na głowicy miecza, patrząc na obecnych oczyma gniewem rozsadzonemi; potem, cofnąwszy rękę, niespodzianie roześmiał się głośno.

Lord Ivywood nie zwrócił na to uwagi, lecz ponownie nałożył szkła, które go tak wiele starszym czyniły, i rzucił okiem na drugi punkt porządku dziennego. Notatka dr. Glucka brzmiała:

„Coote i Bernsteinowie żądają robotnika chińskiego do kamieniołomów marmuru, Grekom dziś tam się nie ufa“.

„Jednakowoż“ — ciągnął lord Ivywood, „broniąc nienaruszalności takich podstawowych instytucyj, jak rodzina muzułmańska, z drugiej strony jednak wystąpić musimy przeciw zastojowi społecznemu. I nie twierdzimy, że blizki wschód żyć może jedynie wielką tradycją Islamu. Postawiłbym serjo pytanie, czy—zdaniem waszych ekscelencyj—tylko blizki zachód uleczyć może niedomagagania blizkiego wschodu? Jeśli trzeba nowych idej, nowej rasy, to rzeczą najbardziej naturalną będzie zwrócić się do tych najżywotniejszych, najpracowitszych cywilizacyj, co są niewyczerpanemi rezerwami Wschodu. Azja weszła do Europy — daruje tę uwagę Oman Pasza — jako Azja wojownicza, czy nie zobaczymy w Europie Azji pokojowej? Wzgląd ten czyni ze mnie zwolennika projektów kolonizacyjnych“.

Patrick Dalroy wyprostował się pociągnąwszy za gałąź oliwną nad swoją głową. Odzyskał równowagę, oparłszy się wolną ręką o pień drzewa, wzrok zaś utkwił w obradujących, jakby chciał oczy wypatrzyć. Odczuł w tej chwili całą bezsilność siły fizycznej. Mógł wrzucić dyplomatów do morza, lecz nicby stąd nie przyszło. Upełnomocnionoby nowych do bronienia złej sprawy, a jedyny pełnomocnik dobrej nie mógłby więcej jej bronić, zdyskredytowawszy się raz na zawsze. Z wściekłości potrząsnął gwałtownie gałęzią oliwki. — Nie przeszkodziło to lordowi, który przed chwilą rzucił okiem na punkt trzeci („Oman Pasza żąda zniszczenia winnic“), wygłaszał właśnie tyradę, która stała się sławna. Znaleźć ją można w wielu podręcznikach sztuki oratorskiej. Mówca doszedł już do jądra wywodów, nim Dalroy, ochłonąwszy nieco z pasji i zdumienia zaczął rozumieć jego słowa:

„...przed wiekami wielki mistyk arabski odsunął od ust czarę z winem. Czy rzeczywiście nic nie zawdzięczamy temu szlachetnemu gestowi wyrzeczenia? Czy nic nie zawdzięczamy wstrzemięźliwości dzielnego narodu, długiemu postowi, którym Turcy potępili zatruty powab wina? Przecież w naszem stulaciu najlepiej zdajemy sobie sprawę z tego, że w każdem wyznaniu jest skarb jakiś dla drugich wyznań, że każda religja może pouczyć inne o jakiejś tajemnicy; że wiara do wiary przemawia, kościoły komunikują się nawzajem. Prawdą jest (znów poproszę o wybaczenie mi Omana Paszę), że my, świat zachodni, nauczyliśmy Islam rozumieć wartość pokoju i porządku cywilnego; lecz Islam może nie pozostać dłużny, wnosząc u nas pokój pod tysiączne dachy, zwiastując koniec tego, co było przekleństwem chrześcijaństwa zachodniego i skażeniem cnót jego. W ojczyźnie mojej do przeszłości już należą ohydne orgje nocne, najlepszych rodzin hańbiące imiona. Już i władza ustawodawcza coraz bardziej stanowczo zmierza do wyzwolenia mas z jarzma trunku. Zaprawdę dziś dzień żniwny dla proroka z Mekki: oddanie winnic największemu z jego bojowników będzie najpiękniejszą z uchwał, powziętych w tym dniu szczęśliwym, który wschód uwolni może od plagi wojny, zachód od plagi wina. Mężny władca, co przystąpił wreszcie do układów, ofiarując gałązkę oliwną, dostojniejszą od jego miecza, może być pewien współczucia naszego, jeśli odczuwa dziś żal z powodu rzeczonej cesji; nie wątpię jednak, iż kiedyś rad będzie, że tak się stało. A teraz przypomnę, że nietylko latoroślą winną szczyci się Południe. Jest inna święta roślina, której nie plami wspomnienie żadnej nieczystości, żadnego gwałtu, co nie jest winna krwi penteuszowej, ani złamania liry Orfeusza. Przeminiemy i my, jak wszystko na świecie:

Wspaniały orszak flot szybko topnieje,
Na diunach popiół ogni już dogasa...
Patrzcie, wczorajsze nasze sławne dzieje
Tem dziś, czem Tyru i Niniwy krasa.

Lecz póki słońce świecić będzie, a ziemia żywić, szczęśliwi ludzie, co po nas przyjdą, spojrzawszy na tę wysepkę, słuchać będą opowieści tych trzech oliwek, wiecznie błogosławiących skromnej skale, z której świat pokojem obdarzono“.

Dwaj inni uczestnicy konferencji wzrok mieli utkwiony w Dalroyu: dłoń jego mocniej ścisnęła pień drzewa, fala wysiłku tytanicznego przepłynęła po piersi szerokiej, wtem kamyczek jakiś skoczył pod drzewem, jak konik polny; a potem zwolna uniósł się kłąb korzeni, jakby smok dźwigał członki swoje ze snu.

„Ofiaruję gałązkę oliwną“ — rzekł król, potrząsając wyrwanem drzewem, którego cień ogromny szedł na wszystkich radców. „Gałązkę dostojniejszą od mojego miecza — no i cięższą“.

Nowym wysiłkiem cisnął oliwkę do morza. Niemiec, co nie był Niemcem, podniósł przestraszony rękę, gdy cień dotknął go w przelocie. Teraz wstał i jął się oddalać od stołu, widząc, że szalony Irlandczyk wyrywa drugie drzewo. Z tem poszło mu łatwiej, zanim posłał je śladem pierwszego, stał z niem chwilę, wyglądając jak magik, żonglujący wieżą.

Lord Ivywood okazał więcej zimnej krwi i wstał, by wyrazić stosowną naganę. Tylko Pasza turecki siedział nieporuszony, z okiem, jak zwykle, bezbarwnem. Dalroy wyrwał i rzucił ostatnie drzewo — wysepka ogołocona została doszczętnie.

„Tak! — zawołał, gdy ostatnia oliwka plusnęła w wodę. „Teraz odchodzę. Dziś poznałem coś, co gorsze od śmierci, na imię zaś ma: Pokój“.

Oman Pasza wstał i wyciągnął dłoń do Dalroya.

„Słusznie“, — rzekł po francusku — „liczę więc, że spotkamy się jeszcze w jedynem życiu dobrem. Do zobaczenia“...

— —

Po chwili wahania Patrick Dalroy uścisnął czerwoną dłoń wielkiego tyrana i odszedł do swej łodzi, nie spojrzawszy nawet na dyplomatów.

GILBERT K. CHESTERTON
(przełożył W. J. CHWALEWIK)

REWOLUCJA

Łańcuchami kajdan pobrzękiwali,
Jak pies przy budzie,
Gdy skamle, rwie się, łasi...
Czekali
nasi
ludzie...

Czekali....
Gdyby podejść cichutko
I odjąć łańcuch z kłódką,
Możeby przestali mścić się i łgać...
Bo już chodziły słuchy, że mogą radę dać
I rwać łańcuchy...

Panowie nie wierzyli, bo po co?
I hojnie się raczyli
I jadło im mierzyli spokojnie.
Ale w tem sęk,
Że łańcuch pękł,
Że łańcuch pękł nocą...

WŁADYSŁAW JAN GRABSKI

LIBERUM VETO

Cele rokoszu. — Łąki z lewej strony. — Owładnięcie armją.—Oczyszczanie cudzych domów. — Czego p. minister nie ścierpi, a co cierpi. — Zniesienie uchwały adwokatów lubelskich. — Nowa niespodzianka.

„JAM *satis prata biberunt*“ — już dosyć się łąki napiły — mówiono za Wirgiljuszem w starożytnym Rzymie, gdy usuwano z korzystnych stanowisk gromadę nasyconą, ażeby na nie wprowadzić łaknącą. Też same słowa słyszymy dziś u nas po dokonanym przewrocie. Pomału wydobywają się na wierzch jego ukryte i niezrozumiałe cele. Więc naprzód— inne łąki chcą się także napić. Wiemy zaś, że te z lewej strony dużo potrzebują i dużo mogą wchłonąć, że tak powiem... wody. To nawadnianie odbywa się bardzo szybko i obficie. Drugim, może jeszcze ważniejszym celem rokoszu jest ujednostajnienie ducha armji przez wyrzucenie z niej lub upośledzenie oficerów opornych marszałkowi konfederacji, oddanie pod jego rozkazy całkowitej siły zbrojnej i zapewnienie mu w ten sposób wszechmocy, zapomocą której może on wywierać stały nacisk na wszelkie rządy, nie ponosząc za nie żadnej odpowiedzialności, a w razie nieposłuszeństwa druzgotać je piorunami swej samowładczej woli. Armja stała się miljonową bojówką, podległą jedynie swojemu przywódcy. Trzecim celem jest „sanacja moralna“, ale ograniczona do „szujów i złodziejów“ po prawej stronie. Wiadomo, że komenda socjalistyczna, rekrutując swoich szeregowców, nie poddawała ich ścisłej rewizji moralnej i przyjmowała ochotników bez wyboru. Wiadomo również, że między tymi ochotnikami był i jest znaczny procent wychowańców lub kandydatów kryminału, którzy skwapliwie przyczyniają się do wszelkich ruchów rewolucyjnych, bo w nich moga bezkarnie dopuszczać się najcięższych przestępstw. To też zbawcami świata i przyszłymi „sędziami katów“, są nieraz zwyczajni bandyci, których policja przy połowach znajduje w swych sieciach.

Jak wyglądają niekiedy czyściciele niemoralności i pogromcy winowajców społecznych okazało się na świeżo osądzonym, wielokrotnie karanym złodzieju Trzmielewskim, zabójcy zacnego człowieka H. Lindego, którego zastrzelił za mniemane nadużycia skarbowe. Chyba świat nie widział dotąd takiego wypadku, ażeby zbrodniarz był sędzią i katem niewinnego człowieka w obronie rzekomo skrzywdzonego społeczeństwa! Gdyby więc rokoszanie chcieli przeprowadzić „sanację moralną“ w całej rozciągłości zabrudzenia, po obu stronach gościńca Polski, uprzątnięcie nieczystości we własnych domach pochłonęłoby całą ich energję na długi czas; dlatego woleli się ograniczyć do dezynfekowania cudzych.

Następnem zadaniem nowego rządu ma być zniesienie odmienności nastroju w trzech dzielnicach. Odłamy Polski w trzech zaborach ukształtowały się rozmaicie: Rosja wychowała Polaków w nierządzie i bezprawiu, Niemcy — w praworządności i ładzie, Austrja — w służalstwie i biurokratyzmie. Różnice te wkorzeniły się tak głęboko w charaktery trzech społeczeństw, że nie mogły dotąd roztopić się nawet w żarze patrjotycznych uczuć zjednoczonego narodu. To też gdy wybuchł rokosz, Królestwo Polskie przyjęło go z cierpliwą biernością, Małopolska z gotowością do usług nowemu panu, Wielkopolska z zamiarem bronienia ładu i prawa. Nie mogli tego zrozumieć steoreryzowani i zmechanizowani w swych przekonaniach socjaliści, najgorsi psychologowie śród regulatorów życia społecznego, nieliczący się nigdy z naturą ludzką i wtłaczający ją w ramy doktryny. Najtrudniej było im pojąć zachowanie się Wielkopolski, która naturalnym odruchem zwróciła się przeciw rokoszowi i utworzyła Komitet Obrony Narodowej. Przyjęcie delegatów tego związku przez nowego ministra spraw wewnętrznych było klasycznym przykładem spotkania się żywej energji z martwym mechanizmem urzędowości. Nam nie chodzi wcale — mówili oni — o wywołanie ruchu odśrodkowego, o separatyzm dzielnicowy, ale o zachowanie praworządności, z którą zrośliśmy się i która nie pozwala nam godzić się z bezprawiem i zamętem. Gdyby p. minister był znawcą dusz ludzkich i ich dziejów, gdyby był psychologiem i historykiem o tyle, o ile nim być powinien mądry polityk i rządca narodu, odpowiedziałby im: Rozumiemy i oceniamy należycie wasze pobudki, ale z jakichkolwiek przyczyn wynikło obecne położenie, musimy wszyscy starać się, ażeby odmienne ustroje dzielnicowe sharmonizowały się i nie doprowadziły do rozpadu państwa. Tymczasem p. minister nasrożył się groźnie i odpowiedział: Nie scierpię, ażeby istniały jakiekolwiek organizacje prywatne, które spełniają czynności należące do państwa. Właściwie należałoby pragnąć, ażeby było jak najwięcej takich organizacyj, ale mniejsza o to. W tej chwili obchodzi nas tylko ostry ton przemowy ministra do poważnych obywateli przybyłych w poważnej sprawie. Prawie temi samemi słowami skarcił Wielopolski deputację duchowieństwa: „Nie ścierpię państwa w państwie“. Wiadomo, jakie były następstwa tego niecierpienia. Wielkopolanie mogli byli bardzo łatwo w sporze z przedstawicielem rządu odnieść djalektyczne zwycięstwo. Bo cóżby on odpowiedział, gdyby mu byli rzekli: „Jeżeli pan każe natychmiast rozwiązać się Komitetowi Obrony Narodowej z powodu, że on wkracza w atrybucje państwa, dlaczego pan pozwala istnieć i działać Strzelcowi, który jako niezależna organizacja wojskowa przywłaszcza sobie rolę czynnika państwowego? Dlaczego są tolerowane bojówki i policja socjalistyczna? Dlaczego po ozdobieniu sztandarów armji zdobywającej Warszawę sławą „nieznaną przodkom“ rozdano broń młodym łotrzykom i polecono im strzelać do nieznanych ludzi stojących w oknach? Przecie to były i są najjaskrwawsze wkroczenia w atrybucje państwa. Wątpimy, aby p. minister przy największym wysiłku sofistycznym znalazł argument odpierający te zarzuty.

Nie pomógłby mu nawet najbardziej krętacki „mecenas“. Czytelnicy zapewne pamiętają, że adwokaci lubelscy zobowiązali się nie bronić w sądzie komunistów, jako wrogów państwa. Łatwo wyobrazić sobie, jaką ta uchwała wywowała w większości palestry nie tyle zgrozę, ile trwogę. Ponieważ w każdym procesie jedna strona ma pretensję niesłuszną, przeto w każdym występuje obrońca złej. Ponieważ niema tak wielkiego zbrodniarza, któryby za wysoką zapłatą nie znalazł sobie „mecenasa“, więc nakreślenie jakiejkolwiek granicy adwokaturze grozi wielu uszczupleniem zarobków a niektórym utratą głównej podstawy istnienia. Ci dowodzą, że morderca, złodziej, zdrajca są również wrogami społeczeństwa i państwa, jeżeli więc wolno i należy ich bronić w sądzie, dlaczegóż mają być wyjęci z pod tego prawa komuniści? Rozumowanie to ze stanowiska zawodowego jest logiczne, ale ze stanowiska ogólnej moralności fałszywe. Etyka powszechnie obowiązująca uważa uniewinnianie występku za uczestniczenie w nim. Adwokat nie wykracza przeciw tej zasadzie wtedy, jeśli tylko nie dopuszcza rozszerzenia kary poza granicę istotnej winy podsądnego. Ale ilu utrzymuje się w tym obrębie? Większość usiłuje tak wyprać najbrudniejszego zbrodniarza, że wybielonemu brak tylko skrzydeł, ażeby wyglądać na anioła. I w tem właśnie wywabianiu najgorszych plam tkwi nieuczciwość adwokata. W skandalicznej mierze czynią to szczególnie obrońcy komunistów, nawet nie ide-

owców lecz najzwyklejszych bandytów przebranych za bohaterów. Ponieważ ci bohaterowie występują zwykle w procesach głośnych, ściągających uwagę publiczną, więc karjerowicze palestry chętnie ofiarują im nawet bezpłatnie swój język, który otrzymuje honorarjum w rozgłosie. Rada Naczelna adwokatury zniosła uchwałę lubelską. Rozumiemy ten wyrok: jego motywy znajdują się w buchalterji adwokackiej.

Zaznaczyłem już, że nasze życie polityczno-społeczne składa się z samych niespodzianek. Przybyła nowa— pierwszy dzień obrad sejmu. Zdawało się, że dzień ten zagrzmi wszystkiemi tonami zgrozy, że będzie straszną rozprawą, że przez salę sejmową przesuną się krwawe cienie setek poległych w bratobójczej rzezi... Nic podobnego. Po burzy, która przewróciła kilkanaście drzew i zerwała kilkanaście szyldów, ludzie rozmawiają bardziej wzruszeni. Nie było tam księdza Panasia.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

1923 — 1926

LUDZIE dobrze poinformowani o tem, jak odbywały się przygotowania do wybuchu, który nastąpił dopiero w maju r. b., utrzymują, że wybuch ten nie tyle był celem przygotowań, ile ich automatycznym rezultatem. Na konspirację rewolucyjną składały się rozmaite motywy, najbardziej dynamicznym była podnieta z Sowdepji, ale podstawą jej było przedewszystkiem manjactwo konspirowania w armji, biorące początek w żywych tradycjach bojówek z r. 1905 i Legjonów. Piłsudski, który pozwolił uważać się za patrona tych zamysłów, nie miał dość siły, aby się im oprzeć wówczas, gdy już syt był rządów i gdy dobrowolnie od steru państwa odszedł. Pewien czas opierał się namowom, ale nie miał odwagi odpowiedzieć konspirantom, że jest przeciwny zażeganiu rewolucji socjalnej, a widocznie nie mógł autorytetem swoim konspiracji przerwać. W rezultacie wciągnęła go ona i uczyniła swym wodzem, czemu z nałogu się poddał. Musiało wreszcie dojść do wybuchu automatycznie, wówczas gdy nie było ani wielkiej ku temu ochoty, ani nawet pretekstu. Brak celu wyraźnego jest widoczny. I dla tego ludziom, logicznie myślącym, zapowiadany ciągle i odkładany wybuch wydawał się nieprawdopodobny. Nikt nie mógł zrozumieć, komu był potrzebny.

Zaczęło się to po wyborach do Sejmu. Poczęto wówczas organizować siły zbrojne, aby Piłsudskiego postawić z powrotem na czele państwa. Po śmierci Narutowicza stronnictwa lewicowe postawiły sobie za cel zbrojenia zwalczenie prawicy. Wtedy to powstał Komitet Związku Obrony Wolności. W podwaliny Związku weszły bojówki socjalistyczne, poddane pod kierunek dawnego P. O. W., potem Związek Strzelecki. Obie te grupy rozporządzały znaczną ilością broni i materjałów wybuchowych. Kierownikami sił bojowych byli wojskowi z Legjonów. Najliczniejszemi bojówkami stały się wkrótce warszawskie i krakowskie, najlepiej przytem uzbrojone w karabiny maszynowe, lekką artylerję i granaty ręczne. Do komitetu naczelnego Związku Obrony Wolności weszli, jak nas informują, pp.: Moraczewski, Daszyński, Barlicki, Malinowski, Hołowacz i inni.

Podczas przesilenia rządów Sikorskiego (wiosna 1923) delegacja Związku postawiła Piłsudskiemu ultimatum, że — albo stanie na czele ruchu, albo Związek sam przystąpi do działania. Program wtedy postawiony obejmował wiele punktów bardzo znamiennych. Były między innemi postulaty takie: socjalizacja dóbr i lasów i wykonanie natychmiastowe reformy rolnej, reforma administracji przez wprowadzenie rad (sowietów), zamiast wojska milicja ludowa (1 rok 8 mies. służby), zamiast wojewodów i starostów mają być komisarze rządu, rozdział kościoła od państwa, usunięcie z Polski zakonów, autonomja dla Białorusi i Ukrainy i t. d.

Piłsudski jakoby przyjął te postulaty, w każdym razie rozciągnął nad ruchem swój protektorat. Zapewne wtedy ustąpił z przewodnictwa Ścisłej Rady Wojennej. Termin czynnego wystąpienia odkładał, motywując, że chwila w stosunkach międzynarodowych nieodpowiednia. Badano sytuację w Rosji za pośrednictwem jakiejś delegacji, której pomagał Dąbal (podczas targów 1923).

Już w r. 1923 wiadomo było władzom, jakie oddziały wojskowe wciągnięte są do konspiracji, jacy oficerowie są najczynniejsi, kto jest głównym kierownikiem sił wojskowych Związku (Rydz-Śmigły), wiadomo było nawet, że konspiracja uznała za swój plan taktyczny umyślnie rozpuszczać nieprawdziwe pogłoski o zamachu, aby społeczeństwo przestało wreszcie wierzyć w istnienie takich projektów.

Istotnie, społeczeństwo przestało wierzyć, ile że nie mogło zrozumieć psychologji konspiratorów wojskowych, którzy się nie wahali dogodzić swemu nałogowi nawet przy pomocy rewolucyjnych żywiołów socjalnych, o których wiedzieli, że podłożem ich jest bolszewizm. Nie z woli twórczej rodziła się organizacja, lecz z choroby, trwającej chronicznie od r. 1905. Fatalizm pchał do czynów nikomu niepotrzebnych i niezrozumiałych.

Ale dlaczego władze państwowe zamykały na to oczy, jakie siły polityczne sprawiały, że tolerowano ten ruch, że nie przygotowano się do odporu? — to pozostanie tajemnicą.

W żadnym razie władze nie mogą się wymawiać nieświadomością, bo od jesieni 1923 wiedziały o tem, co grozi; wiedziały też zawczasu o tem, co się gotuje w Krakowie, zanim nastąpił mord ułanów pod hasłem, które było wówczas tak niezrozumiałe ze względu na nazwisko, symbolizujące opiekę nad żołnierzami.

Wiele faktów od tego czasu można wyjaśnić tylko w związku z działaniem podziemnem owej konspiracji. Ferment w „Wyzwoleniu", powstanie radykalnego stronnictwa chłopskiego i t. p. tłumaczą się nadziejami na rychłe powstanie rad i komisarjatów.

F. S.

ZNOWU PIEŚNI UKRAIŃSKIE

ZWYCIĘSKA fala „odrodzenia moralnego" obciąża państwo ciężkiemi serwitutami, zaciągniętemi przez organizację zamachu wobec rewolucji socjalnej.

Niemniej ciężki jest serwitut wobec różnych „mniejszości" które oczekują autonomji i przystosowania ustroju Polski do ich gustu. Tutaj wracają widma, zdawało się już niepowrotne, lat ubiegłych.

Narazie czepiły się one cieniów Petlury, zamordowanego przez Żyda w Paryżu. Rzecz znamienna, że Żydzi, którzy dla symetrji w haśle mniejszości wysuwają pretensje Ukrainy, zgładzili Petlurę w obawie nowych ruchów ukraińskich, które im grożą pogromami. Otóż ten pierwiastek bałkański znowu teraz wypływa w Warszawie.

Dziennik żydowski, półurzędowy „N. Kur. Polski" donosi, że w dn. 27 czerwca odbyła się w Warszawie uroczysta akademja na cześć Symona Petlury. Śpiewały chóry ukraińskie, za stołem prezydjalnym zasiedli ukraińcy: Kowalski, Lewicki, gen. Salski, a obok nich: Al.

Lednicki, prof. Baudouin de Courtenay, Andrzej Strug, wicemarsz. Sejmu Ignacy Daszyński. Na sali między innymi generałowie: Wróblewski, Dreszer, Składkowski, adjut. Wieniawa Długoszewski, pułk. Ulrich, pułk. Sławek, radny Hołówko, sławetny gen. ros. Al. Babjański i t. p. Wiemy, co znaczy każde z tych nazwisk zosobna i co znaczy zespół złowrogi. Odczytano list Artura Śliwińskiego (oczywiście). Ukrainiec Lwowski przemawiał ślubując, że młodzież ukraińska podejmuje walkę rozpoczętą przez Petlurę i doprowadzi ją do zwycięskiego końca. Chór odśpiewał hymn ukraiński, którego zebrani wysłuchali stojąc.

O ile jest rzeczą wątpliwą, czy posiadana władza i siła zbrojna utrzymają w szachu rozbudzoną rewolucję socjalną, to nie ulega kwestji, że na polu polityki międzynarodowej uśmiecha się sternikom Polski sowita za kłopoty wewnętrzne nagroda: tworzenie nowych państw, nowe wycieczki, bohaterstwa...

Od maja czekaliśmy, którędy też wypłyną na powierzchnię pp. Lednicki i Babjański (Dobczyński i Bobczyński naszej polityki wschodniej). Oczywiście są tutaj w towarzystwie mistrza Struga, patrona Żydów prof. Baudounina, miłośnika sztuk Artura Śliwińskiego, pp. Sławków, Daszyńskich, Świtalskich, Długoszewskich. Jakże niedaleko od ukraińskiego *Requiem* do krotochwili Gogola na temat Chlestakowa. Jakżebyśmy się śmieli, gdyby główną rolę grał Zelwerowicz. Tymczasem jest to dramat polski.

„SOKÓŁ" POLSKI A UROCZYSTOŚĆ W PRADZE

„Sokół" polski odmówił udziału w uroczystościach w Pradze, motywując to, związkiem ich z czcią Husa. Z pewnością nikt w katolickiej Polsce nie jest zwolennikiem husytyzmu, i nikt też husytyzmu u nas nie szerzy... Ale zarazem niewielu jest w Polsce takich, którzyby nie sądzili, że korzystne jest dla Polski wszystko to, co się przyczynia do zblokowania przeciwniemieckiego słowian. Z tego względu absencja Polaków na zjeździe praskim opatrzona być musi poważnym znakiem zapytania. A fakt ten, jako mający podłoże zasadnicze, a zarazem mogący się stać precedensem na przyszłość, w jakichś okolicznościach podobnych, zasługuje na parę słow analizy.

Socjologiczno-moralną racją idei narodu jest to, że ona dla rzeczywistości najbliższej, zakreślonej dosięgalnością ramienia, organizuje pełnych ludzi i to na podstawie dziejowego realizmu i pietyzmu. Narodowiec kocha się w pełni życia, z dziejami związany jest czcią rozumną, działa tak, aby nie osłabić, owszem wzmacniać ten konkretny zespół cywilizacyjno-polityczny, który go wyhodował na człowieka. Dlatego to taki narodowiec, który sam nie jest człowiekiem wierzącym, szanuje przecież wiarę innych, jako faktycznie jedną z sił cywilizacyjno-budowniczych. Narodowiec jest w gruncie rzeczy humanistą, on, właśnie jako narodowiec, a zarazem człowiek cywilizowany, więc objektywny, uznaje za mniej lub więcej cenne wszystkie wysiłki ku wypracowaniu „prawdy", byle nie swawolne, na manowcach niedziejowych, nierealnych wybryków indywidualistycznych, ale rzetelne, mające ambicję być cegiełkami przy wspólnym trudzie pokoleń, budujących konkretną cywilizację. Narodowiec Polak czy Włoch, otrząsający się przed wpływami indyjskiemi, współczuje z narodowcem Hindusem, broniącym tego właśnie i n d y j s k i e g o światoglądu przed wpływami Europy. Narodowiec - europejczyk nie dlatego ze wstrętem odwraca się od teozofji, że ona uznaje wszystkie próby religijne ludzkości za cenne, owszem i on uznaje pełnię życia twórczego; ale dlatego, że teozofja nie jest z ducha europejskiego, że ona marnuje dla polityczno - narodowego życia—jedynego życia, jakie my mamy do rozwoju — energje duchowe swych adeptów, (jeśli nadomiar nie służy sama tajnym, politycznym również, ale dla narodu złowrogim celom!...). Czyżby narodowiec — człowiek religijny, miał uznać Japończyków broniących swego Szintoizmu, muzułmanów broniących swego Allaha, za niegodnych szacunku? Narodowiec-katolik, który wierzy głęboko, że jego religja jedynie zawiera pełnię Prawdy, jest jednocześnie katolikiem wspaniałomyślnym, który sam czyniąc to wszystko, co mu religja i pragnienie szerzenia Wiary Św. nakazuje, do uczuć religijnych innych ludzi odnosi się zawsze z najgłębszym szacunkiem i powagą. Znakomity pisarz katolicki Ernest Psichari nawrócił się, między innemi, i pod wpływem imponującej mu gorliwości religijnej Arabów, inny również katolik francuski i waleczny żołnierz Aug. Cochin, mów o „bogactwie widoków indywidualnych w budowaniu idei zbiorowej Boga".

To też, w danym wypadku narodowcy-katolicy niechby raczej Panu Bogu pozostawili sąd nad Czechami z powodu ich kultu dla Husa—który zresztą jest ich n a r o d o w y m bohaterem i w tem znaczeniu uznawany jest przez najgorliwszych czeskich katolików — a sami wyjazd swój do „Złotej Pragi" ocenili wyłącznie z punktu widzenia interesów polskich.

SIMPLEX

PRZEGLĄD POLITYCZNY

O naprawę ustroju — Projekt Zw. Ludowo-Narodowego — Dymisja i wybór marsz. Rataja -- Niebezpieczeństwo anarchji — Nowy rząd francuski — Kryzys Ligi Narodów.

JEST cechą stronnictw i ugrupowań centrowych, wynikającą z samej ich natury, że nie one dają inicjatywę gwałtownych, radykalnych reform, że zajmują raczej stanowisko umiarkowane, pośrednie, szukają kompromisu między chęcią utrzymania istniejącego stanu rzeczy, a dążeniem do zasadniczej przebudowy. Projekty reformy konstytucji, ogłoszone przez stronnictwa centrowe, przedewszystkiem Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast" i umiarkowany klub Chrześcijańskiej Demokracji niewątpliwie są jednym więcej dowodem tej reguły. A jednak jakże śmiałe, jak radykalne i pełne zdecydowania są te projekty, jeśli porównać je z lękliwym, małostkowym, wszelkich stanowczych decyzyj unikającym projekcikiem „reformy", który po miesięcznych naradach i wahaniach wygotował rząd rewolucji majowej, rząd „przewrotu"! Stronnictwa te, podobnie jak Klub Chrześć. Nar. i Związek Ludowo-Narodowy, mają przynajmniej odwagę spojrzenia prawdzie w oczy, mają odwagę stwierdzenia, że nie może być rzeczywistej naprawy ustroju bez naprawy dotychczasowej ordynacji wyborczej, że zmniejszenie liczby posłów jest koniecznością, że bezkarność, wynikająca ze zbyt szeroko pojętej „nietykalności poselskiej" była jednym z najważniejszych powodów obecnego poniżenia Sejmu w oczach szerokich mas. Nie odrzucając słusznych myśli, zawartych w projekcie rządowym, stronnictwa te czynią z nich tylko fragment reformy, sięgającej głębiej, ogólniejszej i to nawet fragment nie najbardziej istotny, nie najważniejszy.

Z ogłoszonych projektów reformy najpoważniej przemyślany jest projekt, opracowany przez Związek Ludowo-Narodowy. I w tym projekcie liczono się z istniejącemi na terenie Sejmu możliwościami, wprowadza on jednak zmiany bardzo istotne i doniosłe, wzmacniające władzę

wykonawczą, umożliwiające przez naprawę ordynacji wyborczej i zwiększenie znaczenia Senatu usunięcie najbardziej palących niedomagań naszego ustroju parlamentarnego, zepewniające ochronę praworządności przez stworzenie Trybunału Konstytucyjnego i fachowej, z prawników złożonej Rady Stanu. Ważne też znaczenie mają projekty zmian, umożliwiające istnienie Sądów ławniczych oraz ograniczające prawo strajkowania przez pozbawienie tego prawa wojskowych, urzędników i pracowników państwowych oraz pracowników przedsiębiorstw użyteczności publicznej. Śmiało rzec można, iż uchwalenie przez Izby ustawodawcze tych wszystkich reform byłoby krokiem naprzód istotnym i poważnym w kierunku umocnienia Państwa i zapewnienia mu bezpiecznego, normalnego rozwoju.

W chwili, gdy uwaga wszystkich zwrócona jest na najważniejszą sprawę naprawy Konstytucji, epizodem nie tyle doniosłym ile znamiennym było ustąpienie marszałka Sejmu Rataja i ponowny jego wybór. Marsz. Rataj, którego stanowisko w dniach zamachu wywoływało uzasadnioną krytykę, wybrany został powtórnie, przy poparciu ze strony lewicy, otrzymawszy 176 głosów na 335 głosujących. Jeśli, jak zaznaczono wyżej, bezkarność prowokacyjnych wystąpień szeregu posłów była jedną z głównych przyczyn upadku powagi Sejmu w społeczeństwie, to marszałek Rataj przedewszystkiem ponosi odpowiedzialność za to, że miękkością swą i brakiem decyzji umożliwiał poniżanie Sejmu ciągłemi hałaśliwemi „obstrukcjami" i zezwalał na wyzyskiwanie trybuny sejmowej dla antypolskich manifestacyj „mniejszości narodowych" i komunistów. Czy ludzie tego typu — i w Sejmie i w rządzie — będą zdolni przeciwstawić się z dostateczną energją wzrastającemu naporowi anarchji?

A tymczasem niebezpieczeństwo jest groźne. Zajścia w Ostrowcu, Gostyninie, Inowrocławiu wykazują, że tylko bezwzględna stanowczość ze strony władz może zatamować szerzenie się wrogiej Państwu agitacji. To też trudno uwierzyć, że przy tem położeniu mogą jednak znaleźć się w rządzie ludzie, którzy za najpilniejsze zadanie uważają... usunięcie z dotychczasowego stanowiska wojewody Bnińskiego, tego samego wojewody Bnińskiego, którego nazajutrz po zamachu p.p. Piłsudski i Bartel pragnęli zjednać ofiarowaniem mu teki spraw wewnętrznych, o czem prasa oddana zamachowi donosiła pod olbrzymiemi tytułami: „Rząd szuka ludzi nieposzlakowanych i zdolnych bez względu na orjentacje polityczne"...

*

W polityce zagranicznej ważnem wydarzeniem jest utworzenie we Francji nowego rządu p. Brianda z p. Caillaux jako ministrem skarbu i zastępcą premjera. Program skarbowy i gospodarczy nowego gabinetu odbiega daleko od postulatów partji socjalistycznej: podstawą jego jest zdobycie zaufania posiadaczy kapitału, a to przez stabilizację pieniądza i równowagę budżetu, osiągniętą nie drogą nowego podniesienia podatków, ale daleko posuniętych oszczędności. Czy to zaufanie zostanie rzeczywiście zdobyte, okaże się niedługo. Pierwszy krok p. Caillaux, usunięcie gubernatora Banku Francuskiego p. Robineau, nie wywarł najlepszego wrażenia. Mimo uspokajających komunikatów i oświadczeń, prasa opozycyjna daje wyraz obawom, czy dymisja ta nie jest wstępem do zniesienia lub znacznego ograniczenia dotychczasowej niezależności Banku Francuskiego wobec rządu. Przytem przeszłość p. Caillaux z czasu wojny utrudnia mu niewatpliwie tę ścisłą współpracę ze stronnictwami narodowemi, od której w znacznym stopniu zależeć będzie powodzenie dzieła, które rozpoczął.

Najpoważniejszem jednak zagadnieniem polityki międzynarodowej staje się w chwili dzisiejszej ciężki kryzys, przez jaki obecnie przechodzi Liga Narodów, kryzys zagrażający coraz wyraźniej samemu jej istnieniu. Przesilenie przeszło w stan ostry od czasu, gdy Brazylja, nie uzyskawszy stałego miejsca w Radzie, zgłosiła swe wystąpienie z Ligi, zwłaszcza, że rozpoczęła ona jednocześnie politykę czynną, korzystając w tym celu z istniejącej już od roku 1889 instytucji t. zw. „zjazdów panamerykańskich", t. j. zwoływanych co lat kilka konferencyj wszystkich państw Ameryki. Zjazd tegoroczny, który właśnie odbył sie w Panamie, powziął rezolucję, zalecającą utworzenie osobnej Ligi narodów amerykańskich. Widoczne jest, iż zarówno Stany Zjednoczone A. P. jak i Brazylja pragną Lidze Narodów nadać charakter instytucji nie ogólno-światowej, lecz raczej europejskiej, z którą Liga amerykańska mogłaby utrzymać stosunki na stopie równości. Słusznie jednak zaznacza paryski „*Temps*", że właśnie ów charakter powszechny jest dla Ligi Narodów jedyną racją jej bytu i że utracenie go byłoby równoznaczne z całkowitym upadkiem Ligi i opartego na niej systemu polityki światowej.

A ponadto wystąpienie Brazylji nie jest bynajmniej jedyną w tej chwili trudnością, jaką Liga Narodów ma przed sobą. Hiszpanja która również nie otrzymała stałego miejsca w Radzie, także coraz niechętniej odnosić się zaczyna do Ligi, czego dowodem ostatni wywiad paryski króla Alfonsa XIII, przestrzegający przed „bardzo złemi skutkami", jakie wywołać musi „polityka łudzenia narodów". Jednocześnie zaś, jak donoszą z Rzymu, rząd włoski stoi na stanowisku, że przyjęcie Niemiec do Ligi Narodów przy jednoczesnem opuszczeniu jej przez Hiszpanję i przez Brazylję, zmieniałoby dotychczasową równowagę polityczną tak dalece, że Włochy nie mogłyby pozostać wobec tego faktu obojętne. W tych warunkach wrześniowe zgromadzenie Ligi Narodów może przynieść decyzje bardzo ważne i nieoczekiwane.

Przed polityką zagraniczną Polski otwierają się wielkie zadania i dalekie prespektywy. Strach pomyśleć, że w takiej właśnie chwili Polska dała światu widowisko wojny domowej i że ster naszej polityki zewnętrznej oddano w ręce indywidualności tych wymiarów, co p. August Zaleski.

IGN.

WYCHOWANIE NARODOWE

AGNOSTYCYZM W SZKOLE

Autor niniejszego artykułu, znakomity myśliciel, b. minister oświaty w rządzie Mussoliniego i twórca faszystowskiej reformy szkolnictwa, jest zdecydowanym przeciwnikiem t. zw. agnostycyzmu, lęku nauczyciela przed podawaniem uczniom pewnych prawd w formie dogmatów, a to w obawie, aby nie gwałcić ich rzekomej swobody badania. Artykuł niniejszy poświęcony jest właśnie temu podstawowemu w dziedzinie pedagogiki zagadnieniu.

Od dłuższego już czasu jestem zagorzałym przeciwnikiem wszelkiego, a więc również i politycznego agnostycyzmu w szkole. Nie lubię cytować słów własnych, co zresztą byłoby niepotrzebne, muszę jednak zaznaczyć, że propagowałem tę ideę wtedy jeszcze, gdy nie było nawet mowy o marszu na Rzym. Nie to więc wpłynęło na ukształtowanie się moich przekonań, jak sądzą niektórzy moi przeciwnicy, zresztą może w dobrej wierze.

Szkoła musi wyłączyć wszelką możliwość agnostycyzmu religijnego i filozoficznego, jak wyłącza agnostycyzm w dziedzinie moralnej. Nie może być tolerowany w szkole również agnostycyzm polityczny. Agnostycyzm jest zawieszeniem sądu, a więc w tym wypadku usunię-

ciem się od czynnego współdziałania z tym lub owym kierunkiem politycznym, mówiąc właściwiej, jest oddzieleniem osobowości od życia. A przecież, jeśli się tego chce naprawdę, można życie uczynić wzniosłem i szlachetnem, jest ono niem jednakże tylko wtedy, gdy się rozwija podług określonych zasad i prądów społecznych. Agnostycyzm wychowuje ludzi przyglądających się życiu z mniejszą lub większą obojętnością, pozbawionych wszelkiego poczucia odpowiedzialności i prawdy moralnej, wśród której żyjemy i której prąd unosi nas mimo naszej bezczynności czy nawet niechęci, szkoła tedy, która wkracza na drogę agnostycyzmu, zaniedbując wypełniania właściwych swych zadań konstruktywnych w dziedzinie życia moralnego, staje się czynnikiem rozkładu, burzycielką najistotniejszych podstaw życia duchowego narodu.

I to właśnie jest przyczyną dla czego zwalczamy t. zw. szkołę „bezwyznaniową", o której na szczęście od paru lat już się prawie nie słyszy. Dobry to znak, świadczący, że mimo ignorancji, zakorzenionych przesądów i złej woli coś jednak w tym kierunku naprawy już uczyniono. Wszak doniedawna jeszcze było niemal dogmatem, że należy uszanować w dziecku wolność sumienia i nie narzucać mu żadnych przekonań religijnych, przez co właśnie przedwcześnie zaprzątano umysł dziecka zagadnieniami wiary, którą przecież będzie mogło przyjąć lub odrzucić swobodnie dopiero później, gdy oczy jego staną się już całkiem otwarte a umysł dojrzały. Wydawało się, iż był to poprostu wybieg, mający na celu odsunięcie *ad calendas graecas* chwili świadomego z a a k c e p t o w a n i a wiary, którą chciano całkiem z życia wykorzenić, w rzeczywistości jednak była to raczej naiwność, pochodząca z całkowitej nieznajomości życia ducha ludzkiego, który zawsze jest i wolny i dojrzały i rozważny, a jednocześnie nigdy bezwzględnie wolny, nigdy całkowicie dojrzały, nigdy zupełnie rozważny. Lecz na tem właśnie polega moc jego.

W równym stopniu zwalczamy i zwalczać musimy zasadę agnostycyzmu politycznego w szkole. Szkoła bowiem jest współżyciem nauczyciela z uczniami i wyrazem świadomości istnienia ideałów życiowych, uznawanych przez nauczyciela za własne. Zapewne, polityka często rozdziela, gdy tymczasem szkoła powinna łączyć. I szkoła rzeczywiście łączy poszczególne jednostki w społeczność rozumiejącą się wzajemnie i współpracującą nad tworzeniem obejmującej coraz szersze kręgi cywilizacji. Szkoła jest czynnikiem zbratania nietylko tych, co żyją w danej epoce, lecz ludzi wszystkich czasów, dając potomkom możność pojmowania i jakgdyby przeżywania raz jeszcze życia ich ojców oraz właściwego oceniania tego wszystkiego, co było dla nich pięknem, szlachetnem i wielkiem, co było radością ich ducha; jest czynnikiem zbliżenia i zbratania nietylko ludzi, zamieszkałych w tym samym kraju lub należących do tego samego narodu, lecz ludzi wszystkich krajów i narodów, dzielących się z nami myślami, współpracujących z nami przy tworzeniu olbrzymiego dzieła ludzkiej kultury. To wszystko jest prawdą niewątpliwą i powszechnie znaną. Nieraz przecież wśród najgwałtowniejszej walki politycznej, która z biegiem czasu wydrąża między nami coraz głębsze przepaści, z utęsknieniem zwracamy się myślą ku owym latom radosnym, spędzonym w szkole, gdzie nasi najzaciętsi wrogowie obecni byli blizkimi kolegami, z którymi wspólnie czerpaliśmy z nieśmiertelnego dorobku sztuki i wiedzy wszystkich krajów i czasów. Serce nasze zalewa wtedy fala nagłego wzruszenia, podobna do tej, gdy wspominamy najwcześniejsze lata dziecięce, kiedy to przy ognisku domowem zgromadzała się codziennie cała rodzina, dziś już niestety rozproszona.

Okres jednak dzieciństwa, choćby ono było najpiękniejsze, musi się skończyć. Rodzina z biegiem czasu musi się dzielić. Biada zaś dziecku wychowanemu w ten sposób, że ani kroku nie potrafi stąpnąć bez opieki matczynej i ani na chwilę przekroczyć nie może progu ojcowskiego domu. Szkoła nie może brać udziału w codziennej walce życiowej, wśród mnożących się nieustannie przeciwieństw i sporów. Lecz szkoła powinna przygotowywać swych uczniów do życia. Słuch dziecka, czy też później młodzieńca, musi być nieustannie kształcony, aby stał się wrażliwy i mógł się łatwo orjentować wśród zgiełku życia, które czeka nań wraz ze swojemi zagadnieniami, ze swojemi poglądami sprzecznemi a jednak przeznaczonemi do ostatecznego pojednania. Trzeba dobrze się ćwiczyć w nauce owych zagadnień, a przytem hartować swą wolę, by móc je w przyszłości należycie rozwiązać. I dlatego już jako dzieci musimy w nauce tej zasmakować, musimy troskliwą opieką otoczyć w duszy zalążek, który kiełkując, winien z czasem zapuścić głębokie korzenie, kształtować moc charakteru i postawić nas w rzędzie ludzi, zasługujących na prawdziwy szacunek.

Nawet Dante może być zrozumiany przez tych jedynie, którzy nie są pozbawieni hartu ducha i mocy przekonań, gdyż on, jako człowiek żyjący pełnią życia, całkowity, przemawia tylko do ludzi całkowitych, czyli równie jak on przejętych zagadnieniami, które życie nam stawia.

Szkoła nie może się ograniczyć jedynie do nauczania gramatyki, matematyki lub innego przedmiotu, będącego tylko ozdobą lub ćwiczeniem inteligencji. Kształtowanie inteligencji musi iść w parze z kształtowaniem charakteru. Trzeba umieć zrozumieć, aby to, co się zrozumiało, ukochać. To zaś ukochanie, wypływające z duszy, nie może się różnić istotnie od określonego punktu widzenia, wiary lub pewności sumienia. Nauczyciel, nadający szkole kierunek, musi mieć duszę otwartą i czułą na wszelkie szmery życia, duszę, którąby potrafiła orjentować się z należytą szybkością, którąby potrafiła zająć stanowisko właściwe, słowem duszę, którąby mogła stworzyć świat własny, będący ostatecznem kryterjum i podstawą działania przy wykonywaniu jego wielkich i trudnych obowiązków.

I dlatego chcemy szkoły narodowej, włoskiej, kierującej się nie tyle poczuciem praw, ile raczej obowiązków wobec narodu, a tem samem obowiązków każdej poszczególnej jednostki, każdego bez wyjątku Włocha. I to właśnie jest naszą polityką świętą i nieprzejednaną, której zaprzańcy nie są bynajmniej rzecznikami wolności myśli i ducha, lecz nędznymi profanatorami świątyni, której strzec musimy gorliwie.

Co się zaś tyczy wolności, owszem, jest ona właśnie boginią świątyni, o której mowa. Wolność jednak nie jest naszym przywilejem naturalnym, lecz ideałem, do którego urzeczywistnienia dążyć musimy, obowiązkiem na nas włożonym, skarbem, za którym tęsknimy i który zdobyć możemy jedynie przez zaparcie się i przez ofiarę.

GIOVANNI GENTILE

NAUKA I LITERATURA

Z POEZJI WSPÓŁCZESNEJ

WIELKA poezja romantyczna, która jest zawsze jeszcze najwyższym wzlotem naszej literatury, nie straciła widocznie po dziś dzień swego uroku, skoro nawet w utworach najmłodszych poetów raz po raz spotykamy jej odgłosy. Jednakowoż inne to znacznie odgłosy, niż wówczas, gdy romantyzm był u nas panującym prądem,

przesunęła się linja zainteresowań — nie ballady i nie powieści poetyckie znajdują u nas wielbicieli i naśladowców, lecz te dzieła trzech wieszczów, które dotąd były niedoceniane, a często nieznane. Impuls, dany przez badaczy udziela się świadomie lub bezwiednie szerszemu ogółowi czytelników, więc też i poetom, którzy znajdują nowe wzory i nowe natchnienia w dziełach jeszcze nie zużytych, nie spowszedniałych.

Ogromne złomy tylu niedokończonych lub zdefektowanych dzieł, dochowanych w puściźnie Słowackiego, kusiły już wielu pisarzy, którzy usiłowali je uzupełnić, porządkować lub kontynuować. Były to przeważnie próby chybione lub rzemieślnicze łatania, tak postąpiono niegdyś dla celów scenicznych z „Horsztyńskim", tak też z podobnych względów począł sobie niedawno z „Samuelem Zborowskim" pewien krytyk, a raczej gaduła literacki. Jedna tylko próba dała wynik nietylko niezawodny, ale i świetny, był to poemat Wyspiańskiego „Bolesław Śmiały", podejmujący osnowę „Króla-Ducha", — dzieło prawdziwie wielkiego poety, więc choć odbiegające od idei poematu Słowackiego, jednakże w zupełności jego godne... jak kopuła św. Piotra, wzniesiona przez Michała Anioła, choć odbiegła od planów Bramantego, jest godnem uwieńczeniem dzieła, które zapoczątkował budowniczy. Obecnie „Król-Duch" doczekał się dalszej kontynuacji. Jest nią poemat Zofji Reutt-Witkowskiej p. n. „Pielgrzym" [1]). Z tytułu już można się domyślić, że tematem będzie pokuta króla Bolesława Śmiałego w klasztorze korutańskim. „Legenda Ossjaku" (bo taki jest podtytuł) — zwalczana obecnie przez historyków, znajdowała już nieraz wyraz w naszej poezji, dość wspomnieć tak znanego „Mnicha" Korzeniowskiego, być może wchodziła ona i w zakres zamierzeń Słowackiego. W każdym razie p. Witkowska, która przez swe prace badawczo-literackie wżyła się w ducha poezji juljuszowej, stara się niejednokrotnie snuć dalej wątki, rozpoczęte przez Słowackiego; takim wątkiem jest np. epizod Tochny - Pustelnicy. Niekiedy rytm oktawy do złudzenia potrafi oddać dźwiękowe własności strof „Króla-Ducha" nawet neologizmy bywają tworzone jakby w myśli Słowackiego; częściej jednak odczuwamy tętno dzisiejszej mowy, nerwowej i niecierpliwej, co sprawia, że tu i owdzie, zamiast zwięzłości (jakże w niej celował autor „Króla-Ducha"!) bywają niedociągnięcia i niejasności stylowe, niektóre wyrażenia jak „święte polskie Graale" trąca banalnością. Najpiękniejsze są strofy rozdziału „Ciężar samotni", opiewające przemianę duchową króla, dużo w nich rzewności szczerej i wdzięku. Należytego sądu o całości nie pozwala wydać ciągła pamięć o Słowackim, która mimowoli narzuca nam wysokie wymagania. Autorka to rozumie, więc w „Przedmowie" rzuca pytanie „Czy są tematy, których w poezji poruszać nie wolno?" — pytanie to podobne do przedmowy Słowackiego, umieszczonej przed „Wacławem", który był kontynuacją „Marji" Malczewskiego...

Nie tak górne loty naszej romantyczności upodobał sobie inny poeta, Edward Walewski, który w Wilnie wydał „jamb na stulecie Filomatów" zatytułowany „Wiwlasy" [2])— bo taką żartobliwą nazwę nadali sobie filomaci. Autor zręcznie podchwytuje ton swobodnych, niewymuszonych wierszy, jakie układał Zan, Czeczott, Odyniec, czy inni członkowie tego bractwa, skończywszy na największym z nich — Mickiewiczu. Spotykamy tu wszystkie postaci znane z III-ciej cz. „Dziadów", czy z Archiwum i Korespondencji Filomatów, wszystkie zdarzenia pamiętniejsze, wszystkie uczucia i porywy, począwszy od miłostek, a kończąc na hasłach: „Ojczyzna, nauka, cnota". Wszystko to ujęte w formę sonetów, a opatrzone komentarzem, wprowadza nas doskonale w atmosferę Wilna z przed stu lat.

W ton mickiewiczowskich, „zdań i uwag" uderzają epigramaty Zegadłowicza: „Ziarna na opoce", zamieszczone w zbiorku noszącym tytuł: „Godzinki" [3]), jak u Mickiewicza, dźwięczy tu głęboka wiara, prosta i mistyczna zarazem, wielka pokora, miłość ludzi i pracy, nie zrażająca się przeciwnościami:

„Oszczerstwo, wyśmiew, wzgarda są dla ducha szkołą—
szerzej prężą się skrzydła, gdy pustka wokoło.

Te same nuty, choć bardziej smutne, słychać w „Gorzkich żalach" (były drukowane w „Myśli Narodowej" nr. 3 z. r.); forma kantyczki kościelnej znajduje tu nowe zastosowanie — służy do wyrażenia osobistych uczuć, bólów, rozgoryczeń, zawodów, to znów ufności i uspokojenia; łamiący się rytm, przypominający hymn św. Franciszka lub naszą średniowieczną pieśń „o Matce Boskiej pod Krzyżem", harmonizuje z coraz to nowem łamaniem się wewnętrznem duszy. Dopiero w „Zwiastowaniu", gdzie króluje „otucha, pogoda, radość i słońce" pieśń rozlewa się spokojnym heksametrem. W cyklu „Miedza" stanął Zegadłowicz najwyżej; przepiękna ta pieśń, natchniona miłością gleby-żywicielki i miłością ludzkiego serca, wyczarowana szelestem kłosów i wonią ziół polnych, pieśń ze szczerego serca płynąca, nie dla popisu i nie dla tych, co w poezji hołdują snobizmowi i kuglarstwu.

Do grupy „Czartaka", której niejako patronuje Zegadłowicz, należy Janina Brzostowska. Z dwóch tomików jej poezyj, które ukazały się niedawno [4]), pierwszy jest poświęcony — ziemi; jest to jakby rozmowa z ziemią, rozpamiętywanie jej przymiotów — raz się ta ziemia wydaje poetce „jasna miłością", kiedyindziej znienawidzoną „za ból dni gorzkich i złych", raz jest szczytem, z którego patrzy się daleko „w wieczność i nieskończoność", to znów daje nam tylko pewność, że w niej znajdziemy — grób! Mimo to instynktowne przywiązanie do ziemi przemaga w człowieku wszelkie jego gorycze i nienawiści. Wiersze tego cyklu często rażą zanadto retorycznym patosem, który nieco zaciemnia wątek myśli; to też cieszyć się należy, że przywary tej ustrzegła się poetka w drugim zbiorku, mającym za treść uczucia bardziej intywne, bo — miłosne. Naiwnym wdziękiem ujmuje wiersz „Wspomnienie" — podchwytujący uczucia pensjonarskie. Świeżością i subtelnością pomysłu celuje „Pocałunek niebyły"; splatanie faktów rzeczywistych z wymarzonemi wyobraźnią jest wogóle cechą najbardziej znamienną i oryginalną tych erotyków — najdobitniej występuje ona w wierszu ostatnim („Ty"):

nigdy nie byłeś i nie będziesz moim,
więc jesteś moim aż po śmierć, na zawsze.

Oryginalny temat ujmuje Stanisław Bąkowski w zbiorku „Ścieżki ułomnych" [5]). Na zbiorek składają się trzy jakby ballady: o „Ślepym Janku", „Błażku niemowie" i głuchym „Marku drwalu"; poeta stara się wniknąć „poza twarde, lodowe skały", które „poodgradzały od świata człowieczeństwo tych ludzi nieszczęśliwych, kaleków" i zapytuje się, czy może za tą zaporą, poza tym bólem „strasz-

---

[1]) Z. Reutt-Witkowska, Pielgrzym (Legenda Ossjaku). Gebethner i Wolff.

[2]) Edward Walewski, Wiwlasy. Jamb na stulecie filmatów. Wilno 1926. Nakładem Ludwika Chomińskiego.

[3]) Emil Zegadłowicz, Godzinki, „Gorzkie żale, Zwiastowanie, Miedza, Ziarna na opoce". Nakł. księg. Św. Wojciecha.

[4]) O ziemi i mej miłości 1925. Erotyki. 1926. — Wydawnictwo „Czartak".

[5]) Ścieżki ułomnych, napisał Stanisław Bąkowski, Kraków, 1926 S. A. Krzyżanowski.

niejszym nad wszystkie rozpacze" nie tai się „pozaczłowiecze poznanie

zrodzone z zaświatów blizkości,
które ich drogi cierniste
cichą osłodą mości?..."

Tego zapatrzenia się i zagłębiania w rzeczy niedostrzeżone przez ogół ludzki, tego zastanawiania się nad istotą i przyczyną bólu ludzkiego, nauczył się Bąkowski niewątpliwie od Kasprowicza, któremu „Ścieżki ułomnych" zawdzięczają nawet po większej części swą rytmikę wierszową. Mimo pewnych niedociągnięć myślowych całość obfituje w momenty piękne, niektóre oddane z wielką siłą.

JÓZEF BIRKENMAJER

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Wzmiankowano już w prasie w r. ub., że teatr Narodowy projektuje wystawienie w r. 1926 utworu dramatycznego Bohdana Katerwy w związku ze święconą w świecie katolickim 700 rocznicą śmierci św. Franciszka z Assyżu.

Mieliśmy w ręku odpis tego pięknego poematu scenicznego. Nosi on tytuł „Tajemnica miłości. Legenda w 3 aktach". Utwór ten był już zakwalifikowany i słusznie spodziewano się, że będzie on ozdobą repertuaru. Dzieła Katerwy nigdy nie zawodziły, zawsze użyczały scenie tego rzadkiego uroku, jakim jest tchnienie poetyckie. Wyjazd Osterwy, który mógł grać rolę główną, uniemożliwił wystawienia tej sztuki.

Legenda Katerwy nawet w czytaniu robi wrażenie jakiegoś zwiewego obrazu, który żyje. Talent Katerwy ma tę rzadką zaletę, że łączy doskonale poetyckość na wysokim poziomie uniesień religijnych i lirycznych z trzeźwością artystycznej świadomości. I to właśnie zapewnia jego utworom powodzenie. Jest zawsze jasny, przejrzysty, władający przedmiotem, precyzyjny w budowie, jak architekt, który wszystko obliczy. W legendzie „Tajemnica miłości" dar ten imponuje. Trzeba dobrze znać literaturę religijną i przerobić duchowo treść nauki św. Franciszka, żeby wydobyć z ksiąg żywą postać i bez przeciążenia dydaktyką tę treść wysunąć jako czynnik dramatyczny; trzeba być nadto wytrawnym dramaturgiem, aby przytem nie pozbawić sceny akcji, doskonale zmocowanej, z każdą odsłoną coraz żywszej i budzącej coraz większe zainteresowanie.

Tekst literacki legendy jest tak szczegółowo i jasno dla reżysera opracowany w objaśnieniach, że czyta się go, jakby rękopis grał. Scena zespala w tym utworze z akcją poezji (wstawki) muzykę i pejzaż malarski. Całość jest tryptykiem trzyaktowym: 1) miasteczko, 2) pustelnia, 3) klasztor. Pierwszy i drugi akt po trzy odsłony (w tej samej dekoracji), trzeci—dwie. Obrazy krótkie, jak zawsze u Katerwy i przedziwnie jasne a śpiewne.

*

W d. 29 czerwca we Lwowie odbyła się akademja ku czci Jana Kasprowicza. W imieniu senatu uniwersytetu Jana Kazimierza wygłosił zagajenie prof. Eug. Kucharski. Prelekcję na temat „Przełomowe znaczenie twórczości Jana Kasprowicza" wygłosił prof. Wład. Kozicki. Resztę programu wypełniły produkcje koncertowe. Wybrane utwory recytował J. Gluziński. Śpiewała Lutnia, Haydna wykonał kwartet Tow. Muzycznego, skrzypce, fortepian, chór mandolinistów. Dochód przeznaczono na stypendjum akademickie im. Kasprowicza.

*

P. Władysław Jan Grabski jest niewątpliwie jednym z najbardziej oryginalnych talentów najmłodszego pokolenia. W r. 1923 wydał zbiór poezyj „Rosja", pisany pod wpływem przeżyć rewolucji r. 1917, ostatnio ogłosił nowy tomik p. t. „Trzy wieńce", zawierający trzy bardzo misterne pod wyglądem formy wieńce sonetów (Jeden z nich drukowany był już poprzednio w „Przglądzie Warszawskim").

Wiersz, który obecnie ogłaszamy, pisany pod wpływem tych samych przeżyć, co „Rosja", maluje tragiczne rozdarcie pomiędzy inteligencją i ludem, brak wzajemnego zrozumienia i więzi wspólnej — główną przyczynę rewolucji rosyjskiej i wszelkich socjalnych rewolucyj.

*

Pod egidą Straży Mogił Polskich Bohaterów wyszła z drukarni Zakładu Nar. im. Ossolińskich książka pamiątkowa pod tytułem „W obronie Lwowa i kresów wschodnich polegli od 1.XI 1918 do 30.VI 1919". Książka — piękne album, bogato ilustrowane (w tekście 240 podobizn, 107 rycin i 21 ilustracyj na kredowym papierze), o 204 stronicach druku, zawiera półtrzecia tysiąca nazwisk poległych bohaterów, przy niektórych z nich krótsze i dłuższe życiorysy, nadto zawiera artykuły: Czesława Mączyńskiego, Michała Rollego, Józefa Białyni-Chołodeckiego, wierszyki ks. bisk. Bandurskiego, Benedyktowicza i innych autorów.

Cena egz. 20 zł., w oprawie 25 lub 30 zł. Do tego porto 71 gr. Nakład jest ograniczony do 1500 egz. Bliższych szczegółów udziela wicepr. Straży Mogił P. B. Wanda Mazanowska, Lwów, ul. Długosza 18. pod tym adresem należy przesyłać pieniądze za zamówione egzemplarze.

Wydawnictwo zasługuje na poparcie. Stanowić będzie cenną pamiątkę lat wyrąbywania granic Polski odrodzonej.

*

Ukazała się w druku książka p. D-ra Henryka Wilczyńskiego p. t. „W obronie Zakładów Kórnickich" — Fundacji Narodowej Zamoyskich". Książkę poprzedza przedmowa Aleksandra Swiętochowskiego, z której podajemy tu zakończenie, dobitnie ujmujące sprawę i rolę w niej D-ra Wilczyńskiego. P. A. Swiętochowski tak pisze:

„Dziś, gdy myśli ludzkie w burzy wojennej połamały swe skrzydła i zaczęły pełzać po ziemi, jak gady, a gorące i czyste uczucia zlodowaciały i zmętniały, gdy tyle nadużyć popełniono w rozmaitych instytucjach i przedsięwzięciach publicznych, nie można liczyć na prywatną obronę dobra społecznego. Dr. Wilczyński dostatecznie tego dowiódł przedstawieniem wyrządzonych szkód i zamachów na Fundację Zamoyskiego. On spełnił zacnie i sumiennie swój obowiązek względem nieboszczyka i jego ofiary; teraz kolej na obowiązek rządu, ażeby ten wspaniały dar stał się rzeczywistym i zabezpieczonym skarbem narodu, i na obowiązek opinji społecznej, ażeby czuwała nad nim bacznie i zmuszała do cofnięcia się od niego każdej chciwej ręki".

Książka napisana rzeczowo, jasno, wyczerpująco i spokojnie, wydana w formie graficznej wytwornej, choć skromnej. Treść jej budzi w społeczeństwie naszem żywe zaciekawienie, zrozumiałe ze względu na wielkość Fundacji Narodowej ś. p. Władysława Zamoyskiego, a także z powodu osób w grę tu wchodzących.

U SŁOWIAN

Młody publicysta chorwacki Jakov Matutinnović wydał ostatnio w Belgradzie pracę o problemie „Zjednoczonych Stanów Słowiańskich". Autor przypomina twierdzenie Mazziniego, że w Europie nie będzie pokoju, póki się nie rozwiąże problemu słowiańskiego i twierdzi, że wojna światowa rozwiązała zaledwie połowę tego problemu, t. j. oswobodziła niewolne przedtem narody słowiańskie, — co zresztą wymaga jeszcze dokończenia (Polacy i Łużyczanie w Niemczech, Bułgarzy w Macedonji i Tracji). Matutinović jest zwolennikiem politycznego zjednoczenia Słowian w związek autonomicznych państw, ale w całości geograficznej, t. j. takiej, któraby objęła także Madziarów i Rumunów. Zręcznie polemizuje z neoslawistycznemi twierdzeniami, że możliwe jest tylko kulturalne zbliżenie i współpraca Słowian.

*

W New-Yorku wyszedł nakład *Council of Women for Home Missions and Missionary Education Movement* ciekawa książka Kenneth D. Miller,a p. t. „*Peasant Pioneers — An Interpretation of the Slavic Peoples in the United States*", traktująca o życiu Słowian w Stanach Zjedn. Am. Półn. Książka dzieli się na sześć rozdziałów: I. Pochodzenie europejskie Słowian ameryk. — II. Słowianie przy pracy w Ameryce — III. Słow. życie towarzyskie w Ameryce. — IV. Jak Słowianie zaznajamiają się z Ameryką. — V. Problem religijny Słowian amer. — VI. Słowianie a przyszłość Ameryki". Autor oblicza Słowian w Stanach Zj. na 6 miljonów, zajęcie większości z nich widzi w przemyśle fabrycznym. Podkreśla organizację życia kulturalnego, rozwój prasy, zwłaszcza polskiej (81 pols. pism, jeden dziennik o 150.000 nakładu). Konkluduje, że Słowianie amerykańscy są przedewszystkiem wiernymi obywatelami Ameryki, która jest im już żoną, a ich ojczyzna słowiańska matką.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Benoit strzela... tury. Piotr Benoit, słynny autor „Atlantydy" zrobił bohaterem swojej najnowszej powieści p. t. „*Alberte*" — Polaka. Ochrzcił go arcypolsko brzmiącem imieniem Franz. Rodak nasz Franz urodził się w zaborze pruskim w pobliżu granicy niemiecko-rosyjskiej. Jako rasowy Polak był oczywiście urodzonym myśliwym. Oto jak opowiada łowiecką przygodę, która go spotkała we wczesnem dzieciństwie:

„— Zarówno po jednej jak i po drugiej stronie granicy miałem krewnych. Jako małemu chłopcu, błądzącemu po ogromnych puszczach sosnowo-modrzewiowych (!) zdarzało mi się nieraz w przeciągu godziny pytać o drogę już to patrol niemieckich ułanów, już to sotnię kozacką. W lasach tamecznych żyje niemało wilków i niedźwiedzi. Trafiały się także przed wojną tury *(l'auroch!!)*, ale po wojnie pewno wyginęły. Pewnego razu (miałem podówczas dziewięć lat) spotkałem się niespodziewanie nos w nos z jednym z owych potwornych byków. Właśnie zajęty byłem połowem wę-

gorzy. Łowiłem je w małem jeziorku leśnem, siedząc w łódce uwiązanej u brzegu. Nagle, obróciwszy się, żeby wyjąć z puszki robaka — spostrzegam tura! Nie słyszałem wcale jego kroków. Stanął odemnie o jakie sześć metrów. Wytrzeszczał zamglone ślepie, gotując się do skoku. Zaledwie zdążyłem odwiązać łódkę. Gdyby węzeł był cokolwiek bardziej zaplątany — jużby było po mnie. Chwytam tedy za jedyne wiosło i wbijam je z całej siły w mulisty brzeg. Na szczęście udało mi się odepchnąć. Wypłynąłem na środek jeziorka. Byk wpada we wściekłość i zaczyna biegać naokoło wody, wydając raz po raz ryk przeraźliwy"...

Prawda, że piękny obraz? Bez porównania bardziej malowniczy od opisów puszczy Józefa Weyssenhoffa. Jeden tylko myśliwy potrafiłby lepiej koloryzować: Imć pan Tartarin z Tarascon'u.

*

Paul Bourget w swojej ostatniej powieści „*Un danseur mondain*" (Plon edit.) odmalowuje w sposób bardzo interesujący umysłowość młodej generacji dzisiejszej, którą cechuje nerwowość i potrzeba wrażeń. Bohater powieści, tancerz wielkich i modnych *palaces* woli prowadzić dalej życie niepewne jutra, aniżeli powracać do bezbarwnej, bo spokojnej egzystencji, zdala od sztucznych nastrojów międzynarodowego „eleganckiego świata".

*

P. André Maurois, autor „*Les discours du Docteur O'Grady*", „*Le silence du Colonel Branle*" oraz znakomitej, pełnej wyobraźni biografji „*Ariel ou la vie de Shelley*", przerzucił się obecnie na zupełnie odmienny teren. W „*Bernard Quesnay*" (Nouvelle Revue Française) odmalowuje mało znane, a bardzo ciekawe środowisko przemysłowców północnej Francji, stanowiących niemal „przemysłowe dynastje". Bernard Quesnay pochodzi właśnie z takiej rodziny. Autor, będący sam właścicielem wielkich fabryk, jest pisarzem, w którego dziele czuć energję nietylko słowa, ale i czynu.

*

P. Lucien Romier znany ekonomista i publicysta, który prowadzi obecnie w „*Figaro*" dział polityki wewnętrznej i napisał bardzo interesującą książkę p. t. „*Explication de notre temps*", wydał obecnie pierwszą swoją powieść p. t. „*L'Homme blessé*".

*

Jenerał Mordacq były szef gabinetu p. Clemenceau, były dowódca 30-go korpusu armji nadreńskiej w Wiesbadenie, wydaje u Plon'a niezmiernie cenną książkę p. t. „*La mentalité allemande*". Dzieło to napisane jest w sposób żywy, przystępny. Celem autora jest, aby w szerokich masach społeczeństwa zrozumiano, na czem w istocie polegają owe specjalne cechy umysłowości niemieckiej. „*Caveant consules!*" ostrzega jenerał Mordacq i wykazuje, że ci, co kierowali polityką francuską po ustąpieniu Clemenceau, nie potrafili z dostateczną siłą dyktować swej woli zwyciężonemu. Zdaniem autora Niemcy mogli zapłacić swe długi wojenne, ale brak energji ze strony sprzymierzonych spowodował, że potrafili oni pieniądze te obrócić na olbrzymie inwestycje wewnątrz kraju, a w oczach zagranicy ogłosić krach finansowy, którego ofiarą padli wyłącznie prawie cudzoziemcy.

*

W „*Introduction á la vie nationale*" (Nouvelle Librairie Nationale), p. Van den Broek d'Obernon analizuje konflikt dwóch tradycyj, tradycji ludów wędrownych i osiadłych oraz podstawy życia ekonomicznego rasy semickiej i grecko-łacińskiej. Autor badając przenikliwie i głęboko zagadnienie bolszewizmu, dochodzi do wniosku, że obecnie istniejące instytucje społeczne nie potrafią ochronić od niebezpieczeństwa komunizmu. P. Van den Broek d'Obernon jest monarchistą, ale uważa, że wznowienie władzy królewskiej powinna poprzedzić dyktatura.

*

Gabrjel D'Annunzio wydał nakładem Olivetana w Medjolanie: „*Il libro ascetico della giovine Italia*". Poeta wojny, obrońca bohaterski Fiume w swej pustelni w Gardone zebrał w jednym tomie swe myśli i medytacje, owoc samotnych rozważań z różnych czasów. Pewna grupa owych medytacyj sięga okresu, gdy pisał on dramaty i laudy, inne, współczesne, zawierają fragmenty liryczne i rozmowy powojenne, poprzedzające epokę, w której powstał „*Venturiero senza ventura*". Mimo odległości kilkoletniej opisywanych momentów stanów duchowych poety, fragmenty owe stanowią jedną całość, złączoną głębokiem uczuciem miłości ojczyzny. W grupie sześciu rozdziałów z czasów między rokiem 1895—1907 są już zapowiedzi i przeczucia wieszcze przyszłych wielkich wypadków w życiu potężnej i zwycięskiej Italji Poeta głęboko w nią wierzył i umiał budzić nadzieje młodzieży włoskiej, zachęcając ją do cierpliwej wytrwałości, gdyż przyjdą niezawodnie lepsze czasy. „Wierzą w to tysiące tysięcy innych młodych Włochów, którzy czują palący wstyd za obecny stan rzeczy i potrzebę znalezienia w codziennym wysiłku mocy do bohaterskiego wytrwania i racji bytu" — tak mówił do młodzieży w roku 1896. Książka obecna jest gorącą apoteozą życia bohaterskiego, poświęcenia na ołtarzu ojczyzny i zwycięstwa ducha dla chwały i wielkości narodu.

*

Salvatore Gotta, jeden z wybitniejszych współczesnych, pisarzy włoskich, wywołał swą ostatnią powieścią gwałtowną polemikę, ostre krytyki i niemniej gwałtowną obronę. Tytuł książki dość pospolicie brzmiący, nie oddaje bynajmiej znaczenia poruszonego w niej tematu: „*Aurora... la mobile bella*". Gotta jest w utworach swych jednym z najczystszych tradycjonalistów. Hołduje przeważnie tradycjom z czasów powieści Fogazzara i dba starannie o styl pisarski. Nie przejął się Gotta cyniczną i brudną formą powieści, dogadzającej zwyrodniałemu smakowi klas zbogaconych po wojnie, formy uprawianej przedewszystkiem przez Guido da Verona. W powieści ostatniej daje on obraz życia realnego, powszedniego i prostego lecz w atmosferę codzienności autor wprowadza echa walki toczącej się o ideały, dla których gorzeją i z wysiłkiem pracują twórcy nowych Włoch. Bohater powieści, inżynier, widzi w podwładnej mu grupie pracowników klasę roboczą całych Włoch i pracuje nad nimi z zapałem i oddaniem, starając się obudzić w nich miłość Boga, ojczyzny i rodziny i dać im sposób „pracowania w radości". Nowe prawodawstwo syndykalne faszystowskie z jego dążeniem do potęgi przemysłowej kraju, a jednocześnie z dbałością o dobrobyt moralny i materjalny robotnika, zobrazowane jest w powieści Gotty. Tem się tłumaczy gwałtowny atak na książkę socjalistów i innych internacjonalnie usposobionych żywiołów, którym, naturalnie, powieść podobać się nie może.

*

Cała bibljografja działalności Mazziniego będzie niezadługo umieszczona w Genui w domu, który należał niegdyś do tego wybitnego działacza z czasów *Risorgimento*. Rada ministrów, na propozycję Mussoliniego, zdecydowała się wywłaszczyć obecnych posiadaczy domu tego i umieścić tam zbiory bibljograficzne, dotyczące działalności Mazziniego, a także przenieść tam całe genueńskie archiwum epoki *Risorgimento*. Zostanie w ten sposób utworzone centrum kultury, gdzie badacze historji znaleźć będą mogli wszystko, cokolwiek było napisane w świecie o idei i działalności Józefa Mazziniego.

SZTUKI PLASTYCZNE

WYSTAWA DZIEŁ BRANDTA — WARSZ. SZKOŁA SZTUK PIĘKNYCH

DLA kultury artystycznej kraju jest rzeczą ważną, aby znajomość dorobku narodowego w dziedzinie sztuki była możliwie powszechna i dokładna, aby nie zacieśniała się wyłącznie do niewielkiej liczby arcydzieł, ale obejmowała wszelki rzetelny wysiłek twórczy, niezależnie od takich czy innych gustów epoki lub chwilowych kaprysów mody. To też dobrą myśl miał Komitet Tow. „Zachęty", urządzając zbiorową wystawę dzieł Józefa Brandta (1841—1915), zwłaszcza, że wystawę przygotowano starannie, gromadząc pokaźną liczbę 165 obrazów i szkiców, wśród których nie brak dzieł najbardziej charakterystycznych dla artysty i najwybitniejszych.

Józef Brandt mieszkał i tworzył w Monachjum i to w epoce, kiedy miasto to miało sławę „niemieckich Aten", a w rzeczywistości ton życiu artystycznemu nadawał płytki, bezduszny akademizm, kiedy w pretensjonalnym „*Künstlerhausie*" królował oficjalny Lenbach, a w *Neue Pinakothek* dzieła Kaulbachów, Müllera, Stielera wieszane były jako wzór dla kształcącej się w malarstwie młodzieży. Żył w Monachjum, sławnym w świecie jarmarku na obrazy, mieście *Kunsthändlerów*, gdzie sprawność techniczna, umiejętność wywoływania efektu w większej były cenie, niż głębia artystycznego przeżycia, rzeczywista potęga twórcza. Żył tam i był ceniony, znany, uznany.

A przecież twórczość Brandta miała cechę swoistą, oryginalną, odróżniającą go, mimo pewnych cech wspólnych,

od całego monachijskiego otoczenia. Tą cechą właśną był szczery polsk i temperament, tak mocny i żywy, że i dziś ulegamy chętne urokowi jego zdrowia i siły. Ten polski temperament sprawia, że Brandt po dawnemu jest nam dziś blizki, nawet drogi. Będąc znanym, a nie chcąc, aby rozgłos jego mógł być policzony na rachunek jakiejkolwiek innej narodowości, nie polskiej, Brandt na obrazach swych podpisywał się zawsze wielkiemi literami: „Józef Brandt z Warszawy". Ale świadectwem najlepszem jest wewnętrzna polskość jego sztuki, tradycja junacka, rycerska, którą z takim rozmachem, taką prawdą i tak szczerem przywiązaniem w dziele swem wyraził.

Brandt nie był twórcą głębokim, potężnym. Jako malarz nie szukał nowych dróg, chętnie chodził wydeptanemi przez innych. Ale polskość, bijąca mimo to z jego dzieł, nadaje im wartość trwałą, dziś, po latach pięćdziesięciu, równie rzetelną i niewątpliwą, jak wtedy, kiedy je tworzył.

Po za zbiorową wystawą dzieł Brandta w salach Zachęty znalazło się miejsce tylko na zwykłą „Bieżącą" i na kolekcję prac graficznych Tad. Cieślewskiego (juniora). Grafika Cieślewskiego, pozbawiona oryginalności, nie przykuwa uwagi i nie rokuje większych nadziei na przyszłość. Na Wystawie Bieżącej — poziom, jak zwykle, nizki, większość dzieł bardzo słabych, kilka zaledwie — poprawnych....

*

Radość i otuchę budzi natomiast doroczna wystawa prac uczniów stale rozwijającej się warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Widać szereg młodych talentów, przedewszystkiem zaś widać pracę sumienną, uczciwą, kierowaną umiejętnie i z zamiłowaniem. Profesorowie (z wyjątkiem może jednego St. Czajkowskiego) nie przygniatają uczniów swą indywidualnością, uczą ich patrzeć na świat ich własnemi oczyma, nie przez profesorskie okulary. Pięknie i bogato przedstawia się dział sztuki stosowanej i grafiki. Poza nielicznemi wyjątkami widać szczerą dążność do wydobycia pierwiastka własnego, narodowego, nie uganianie się za pozbawionym treści efektem czy modną przez chwilę doktryną.

Brak miejsca nie pozwala, niestety, zająć się szerzej rozpatrzeniem prac poszczególnych uczniów szkoły. Wymienię dwa nazwiska, najwybitniejszych: Wojtowicz w dziale rzeźby (uczeń prof. Breyera) i T. Bielawski (uczeń prof. Tichego). Niezwykłą sprawność techniczną przy bezduszności, a nawet pewnem wynaturzeniu wykazuje Gotard (uczeń prof. Pruszkowskiego).

*

W Salonie Garlińskiego kilka bardzo pięknych akwarel wystawił prof. Wł. Skoczylas. Wyróżniają się przedewszystkiem dwie znakomite, dekoracyjnie pomyślane „Dziewczyny", barwne, świetnie skomponowane i rysowane. Poprzednio była tam wystawa prac Fel. Czajkowskiej, artystki utalentowanej i sumiennej, celującej w mało dziś uprawianym rodzaju „martwych natur".

K. L.

NOWE KSIĄŻKI

Juljusz Brudkowski. Stanisław Wojciechowski. Jego słowa i jego dzieła. Warsz. 1926. Nakładem autora (Warecka 11). Str. 15.

Święty Justyn, filozof i męczennik. Apologja. Djalog z Żydem Tyfonem. Przełożył i opracował ks. Arkadjusz Lisiecki. Poznań, 1926. Fiszer i Majewski. Str. CXV i 380. Cena zł. 20. (Pisma Ojców Kościoła t. IV).

Katalog polskich bibljotek szkolnych według tytułów. Warsz. 1926. Księg. Perzyńskiego, Niklewicza i sp. Str. 68.

W obronie Lwowa i wschodnich kresów. Polegli od 1 list. 1918 do 30 czerwca 1919. Nakładem straży mogił polskich bohaterów. Str. 203 *in folio* i wiele rycin.

Dr. Henryk Wilczyński. W obronie „Zakładów Kórnickich" fundacji narodowej Zamoyskich. Uwagi, przestrogi i ocena pierwszego sprawozdania. Z przedmową Aleks. Świętochowskiego. Warsz. 1926. Nakładem autora. Str. 102.

NA MARGINESIE

Nowy kurs polski odrodzenia majowego, otwierając przed sobą horyzonty wschodnie, usiłuje zabezpieczyć za sobą tyły przez opanowanie terenów zachodnich. Poznańskie i Pomorze znienawidzone są przez Żydów za swoje oporne względem nich stanowisko. Ileż to było prób podboju tych ognisk przez Żydów i nareszcie przyszedł czas na to Jerycho. „Nowy Kurjer Polski" rozkazującym tonem zwraca się do swojego rządu:

— „Nie wystarczają słowa, za słowami powinny iść czyny. Powinna nastąpić reorganizacja aparatu administracyjnego *in capite et in membris* i w Poznaniu i w Toruniu!"

Żydzi z półurzędówki „nowego kursu polskiego", zoperowani nie tyle *in capite*, ile *in membris*, traktują sprawę polską po rzezacku. Zbyt bezceremonjalnie zapowiadają likwidowanie polskiego stanu posiadania. Nikt w Polsce inaczej nie zrozumie tego zniecierpliwienia w Warszawie z powodu patrjotycznej postawy ziem zachodnich, jak tylko w ten sposób, że w interesie Niemiec Warszawa burzyć będzie wał ochronny od zachodu.

Trudno pogodzić się z myślą, że mógł powstać w Warszawie taki „nowy kurs polski" któremu tego rodzaju komenda nie uwłacza. Więcej w tem jest gorliwości o interesy żydowskie i niemieckie, niż troski o Polskę?

*

Ministerjum oświaty w interesie odrodzenia moralnego zarządziło, aby seminarja nauczycielskie w województwach lwowskiem, stanisławowskiem i tarnopolskiem zwiększyły ilość godzin nauczania języka i literatury ruskiej o 64 proc. W tym celu w programie obcięto ilość godzin „nauki o Polsce" (o prawach i ustroju państwa) o połowę, tudzież przedmiotów pedagogicznych i przyrodniczych. I to ciekawe, że w pośpiechu zapomniano wskazać, jak rzeczowo przystosować dawny program do zmniejszonych o połowę godzin. Pytanie, gdzie nauczyciel nabędzie potem tych zlekceważonych wiadomości.

*

Nie odpowie na powyższe pytanie p. T. Hołówko, który w Klubie społeczno-politycznym (współpracy intelektualnej masonów) w d. 24 czerwca rozdzierał szaty z rozpaczy, że szkoły ukraińskie Polska zutrakwizowała. Dyskusję na ten temat prowadzono przy udziale ukraińców. A p. Babjański (który w nowym kursie znowu się waloryzuje) utrzymywał, że otoczenie opieką „ruchu odrodzeńczego ukraińskiego i białoruskiego" jest obecnie w Polsce najpilniejszem zadaniem politycznem.

Akurat to zadanie uznaje Związek Lud. Nar. za zdradę polskiej racji stanu. Duża różnica poglądów!

*

„Głos Prawdy", organ p. W. Stpiczyńskiego, wyszukanych używa niekiedy metafor. Pisząc np. o opozycji, z jaką polityka marsz. Rataja spotkała się wśród narodowych ugrupowań Sejmu, tak oto obrazowo rzecz przedstawia: „taka jest"—pisze—„prawda naszej rzeczywistości, wyobrażającej piękną oazę oblaną zewsząd gnojówką. Gnojówka cuchnie i zabija ożywczą woń kwiatów i kwiaty więdną w tym zaduchu".

A więc marsz. Rataj— „kwiatem"! I to jeszcze wydającym z siebie „ożywczą woń"! Ładny kwiat!

*

Z powodu wystawienia w teatrze Narodowym „Burzy" Szekspira pewien odłam krytyki rzucił się napastliwie na tłumaczkę Barbarę Zanównę, jako winowajczynię niepowodzenia sztuki. Przedtem ofiarą polityki teatralnej padł tłumacz „Fausta" Emil Zegadłowicz. W obu wypadkach wykonywano ten sam plan dyskredytowania kierownika literackiego Stanisława Miłaszewskiego. Pisarze polscy zamiast się radować, że mają w teatrach miejskich jednego z najlepszych swoich przedstawicieli, doskonałego znawcę literatury, poety wytwornego, który wspaniale przełożył Zorillę i tak szczęśliwie dobierał tłumaczów do Goethego i Szekspira, załatwili z nimi porachunki w sposób nie przynoszący chluby Warszawie jako ognisku kultury literackiej. W obu wypadkach silniejszy był motyw dokuczenia kierownikowi, niż obawa pomyłki. Tak przyzwyczajono się w Warszawie lekceważyć opinję literacką, że bez wstydu ryzykuje się pomyłki i krzywdy. Nikt nie skontroluje. Wykazano dowodami na „Fauście" Zegadłowicza, że popełnili „pomyłkę" To samo zrobili i teraz, pomimo że przekład Zanówny jest sumienny artystycznie i pełen poetyckiego polotu. Krytycy ci ją krzywdzą, co jest nieuczciwe. Usprawiedliwia ich jakoby to, że nie wiedzieli, kto jest Zanówna, ponieważ nie produkowała się w brukowcach i nie była reklamowana.

*

Wystawa sztuki międzynarodowej w Dreźnie wypadła imponująco zarówno ze względu na ogólny poziom, jak na dobór arcydzieł z całego świata. Niestety Polska nie jest reprezentowana prawowicie. Za artystów polskich podali się: Mojżesz Kisling, Mojżesz Kogan (rzeźba), Iser, Zadkin (rzeźba), Eug. Zak. Tak wielki jest hałas koło organizacyj międzynarodowych na polu współpracy intelektualnej, a gdy przyjdzie okazja tak dobra jak w Dreźnie, niema kto powiadomić artystów polskich, co mają robić i ostatecznie reprezentują ich Żydzi.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, zagranicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM